

MAUREEN CHILD

Komandos w potrzasku

Marine under the Mistletoe

Tłumaczył: Zbigniew Studziński

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wpadł jej w oko natychmiast.

Marie Santini wyglądała przez okno swojego warsztatu samochodowego. Przyglądała się stojącemu na podjeździe mężczyźnie. A nie było to takie łatwe, bowiem wszystkie szyby pokryte były śnieżynkami, bałwankami i innymi świątecznymi nalepkami. Jednak się starała. Wysoki, pomyślała. Włosy ciemne, krótko ostrzyżone. Na nosie, choć niebo było zachmurzone, miał okulary przeciwsłoneczne, jakie zwykli nosić piloci. Wydatne, kwadratowe szczęki znamionowały upór i zdecydowanie.

Ideał.

Taki właśnie ideał był jej potrzebny. Kolejny mężczyzna rozkochany w swoim samochodzie. Do szaleństwa. Gdy zepsuje się samochód kobiety, ta odstawia go do warsztatu i odbiera, kiedy jest gotowy. Mężczyzna nie odstępował swego pojazdu na krok. Kręci się dookoła, zagląda mechanikowi przez ramię, wciąż zadaje pytania i krzywi się boleśnie przy każdym zgrzytnięciu narzędzi.

Marie Santini lubiła samochody jak mało kto. Ale umiała zrozumieć, że nawet przy najtrudniejszym zabiegu auto nie będzie przecież krwawić.

Pomyślała o kończącym się tygodniu. O tym, że nie było zbyt dużego ruchu w interesie. Zastanawiała się, czy nie wyjść na zewnątrz i nie zachęcić mężczyzny w okularach do wejścia do środka. Włożyła granatową bluzę, lecz nie zapięła jej, żeby wyraźnie widać było napis na koszulce: „Marie Santini. Chirurg samochodowy” i ruszyła do drzwi.

To ma być warsztat samochodowy?!

Davis Garvey z niedowierzaniem przyglądał się niewielkiemu, schludnemu zakładowi. Ściany z surowych desek lśniły śnieżną bielą. Jaskrawoniebieskie framugi okien i żaluzje dodawały całości słodkiego uroku. A po obu stronach drzwi stały wielkie donice pełne purpurowych i białych kwiatów. Obok, szeroko otwarte, podwójne wrota garażowe ukazywały wnętrze warsztatu. Na ścianach, na półkach i uchwytach migotały, czyściutkie jak ze sklepu, narzędzia.

Gdyby nie widok wnętrza warsztatu, można by pomyśleć, że stoi się przed herbaciarnią albo czymś w podobnym stylu.

Spodziewał się czegoś większego. Kiedy słuchał, jak komandosi w bazie Pendleton opowiadali o tym miejscu, wyobrażał sobie, iż będzie to okazałe, kipiące bogactwem gmazysko. Tymczasem stał przed niedużym, skromnym budyneczkiem. I tylko czerwono-biało-niebieski napis na frontonie upewniał go, że trafił dobrze. Do warsztatu Santinich.

Skrzywił się. Przypomniał sobie głosy kolegów, którzy z nabożnym niemal podziwem mówili: „Jeśli Marie Santini nie poradzi sobie z twoim samochodem, to nikt już go nie naprawi”.

Mimo to wciąż nie był całkiem przekonany, czy dobrze zrobił, że tu trafił.

Z trudem godził się z myślą, że jego auto miałyby naprawiać kobieta. Jednak miał w koszarach tak dużo pracy, że nie mógł zająć się tym sam.

Od pobliskiego oceanu dmuchnął zimny wiatr i Davis włożył ręce w kieszenie starych, wytartych dżinsów. Zadarł głowę i zapatrzył się w gęste, bure chmury sunące tuż nad ziemią. Co też stało się ze słoneczną Kalifornią, o której tyle słyszałem, pomyślał. Przyjechał do bazy Pendleton przed tygodniem i przez cały czas albo padało, albo straszło deszczem.

Drzwi się otworzyły i z zakładu wyszła dziewczyna. Długie do ramion, ciemne włosy zaczesana do tyłu. W uszach miała kolczyki. Małe, srebrne kółeczka. Ubrana była w bawełnianą koszulkę, sprane dżinsy i tenisówki. Rozpięta granatowa bluza trzepotała na wietrze jak skrzydła wielkiego ptaka.

– Cześć – powiedziała i obdarzyła przybysza uśmiechem, od którego od razu zrobiło się cieplej.

– Cześć – odparł i spojrzał w najbardziej zielone oczy, jakie kiedykolwiek widział. Davis nie wiedział, czy Marie Santini ma jakiegokolwiek pojęcie o samochodach. Ale na pewno wykonała mistrzowskie posunięcie, zatrudniając tę dziewczynę, by witała klientów.

– Czy mogę w czymś pomóc? – spytała po krótkim milczeniu.

Davis zamrugnął nieprzytomnie powiekami. Na moment zapomniał, po co tu przyjechał.

– Nie sądzę – odparł. – Chciałbym porozmawiać z Marie Santini.

– Właśnie to robisz – prychnęła zniecierpliwiona. Niemożliwe.

– To ty? – Przyjrzał się jej uważnie. Spostrzegł przy tym, że jest fantastycznie zbudowana. – Jesteś mechanikiem samochodowym?

– Oczywiście. – Odgarnęła z oczu niesforny kosmyk.

– Ty jesteś Marie Santini? – powtórzył z niedowierzaniem. Kiedy koledzy z bazy opowiadali mu o dziewczynie naprawiającej samochody, wyobrażał sobie kogoś podobnego do bohaterki oper Wagnera, Brunhildy.

Dziewczyna bez słowa rozchyliła szerzej poły bluzy i wskazała napis na koszulce.

– Wcale nie wyglądasz na mechanika – stwierdził Davis. Co z ciebie za mechanik, jeśli nie masz nawet smaru za paznokciami, pomyślał.

– Spodziewałeś się wielkoluda w brudnym kombinezonie? – Skrzyżowała ramiona, podkreślając niechcący zachwycający kształt swoich piersi. – Przepraszam, że zawiodłam twoje oczekiwania – dorzuciła. – Ale jestem diabelnie dobrym mechanikiem.

– Jesteś bardzo pewna siebie.

– Muszę być – mruknęła. – Większość czasu zabiera mi udowadnianie tego mężczyznom takim jak ty.

– Co to znaczy: takim jak ja?

– Takim, którzy uważają, że kobieta nie może znać się na samochodach lepiej niż oni.

– Hola, hola! – zawołał. Złożył ramiona na piersi i spojrzał na nią groźnie.

Jeszcze nikt go tak nie podsumował. Na co dzień pracował z wieloma kobietami. Wszystkie były świetnymi żołnierzami. Kobieta mogła więc być i mechanikiem. Nie na tym polegał problem. Problemem był dla Davisa każdy mechanik, który dotykał JEGO samochodu. Gdyby nie miał tak dużo pracy, najchętniej sam zrobiłby wszystko przy swoim aucie.

– Nie – odparła – to ty się uspokój. To ty przyjechałeś do mnie. Ja nie uganiałam się za tobą, nie prosiłam, żebyś dał mi swój samochód do naprawy.

– Fakt – westchnął.

– Rozmyśliłeś się?

– Sam nie wiem.

– Wobec tego się zastanów. – Marie ruszyła w kierunku mustanga.

– Dla wszystkich klientów jesteś taka czarująca i uprzejma? – Podążył za nią.

– Tylko dla tych upartych – odparła.

– Dziwię się, że jeszcze nie zbankrutowałaś – mruknął. Nie mógł oderwać oczu od jej rozkołysanych bioder.

– Przystaniesz się dziwić, kiedy naprawię ci auto. Gdyby nie wiedział wcześniej, czym się Marie Santini zajmuje, gotów był założyć się, że służyła w piechocie morskiej.

Marie nie chciała nawet myśleć, ileż to już razy odbywała podobne rozmowy. Odkąd dwa lata wcześniej przejęła zakład po ojcu, każdy klient patrzył na nią z tym samym niedowierzaniem.

Już bardzo dawno przestało to być zabawne.

Czemu więc teraz mnie to ucieszyło? pomyślała.

Zatrzymała się przy mustangu i spojrzała w niebieskie oczy jego właściciela. Poczowała gwałtowny skurcz żołądka. Przypomniała sobie nagle, że jest kobietą. Szybko odsunęła od siebie tę myśl.

– Pozwól, że zgadnę – powiedziała. – Jeszcze nigdy nie spotkałeś mechanika samochodowego płci żeńskiej?

– To prawda – przyznał.

Ujął ją tym wyznaniem. Poza tym zauważyła, że otrząsnął się z szoku prędzej niż większość klientów. Ale też był zupełnie inny niż oni. Zdecydowanie bardziej męski. Miał potężniejsze ramiona, silniejsze mięśnie, dłuższe nogi, bardziej wyrazistą twarz, no i te niebieskie oczy... Marie miała wrażenie, że przewierca ją nimi na wylot.

A to dawało wiele do myślenia.

Już dawno przekonała się, że mężczyźni nigdy nie widzą w niej kobiety, z którą chcieliby umówić się na randkę.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz, sierżancie – zauważyła.

Zdumiony, wysoko uniósł brwi. Marie z trudem ukryła uśmiech.

– Skąd wiesz, że jestem sierżantem?

Nie było to wcale trudne dla kogoś wychowanego w Bayside. Do bazy

Pendleton nie było dalej niż dwa kilometry i w miasteczku zawsze pełno było żołnierzy. Łatwo było ich rozpoznać, nawet w cywilnych ubraniach.

– To proste – odparła, rozbawiona. – Jesteś regulaminowo ostrzyżony. I stoisz tak, jakby ktoś krzyknął przed chwilą: „Spocznij!”.

Davis zmarszczył czoło. Uświadomił sobie, że Marie ma rację.

– A jeśli chodzi o twój stopień wojskowy... – ciągnęła. – Jesteś zbyt stary na szeregowca, zbyt ambitny i dumny na kaprała, a nie dość arogancki, by być oficerem. Czyli jesteś sierżantem.

– Dokładniej, starszym sierżantem – bąknął Davis. Był zdumiony i rozbawiony zarazem.

– Zapamiętam. – Przez chwilę wydało się jej, że dostrzegła w niebieskich oczach cień zainteresowania. Niemożliwe, pomyślała szybko.

– Ale wracając do rzeczy – wzięła się w garść. – W czym problem?

– To ty jesteś mechanikiem. Sama mi powiedz.

Poczuła gniew. Choć przecież powinna była już przywyknąć do takich sytuacji. Nie był pierwszym i na pewno nie ostatnim mężczyzną, który starał się sprawdzić jej wiedzę i umiejętności, zanim powierzył jej swoje ukochane cacko. Z dumą mogła jednak przyznać, że kiedy któryś z nich raz się przekonał, pozostawał jej wiernym klientem.

– Jak uważasz – spytała – dlaczego mężczyźni mogą projektować suknie i nikogo to nie dziwi? A kobieta mechanik stale musi udowadniać, że zna się na samochodach? Czy wyobrażasz sobie, żeby ktokolwiek kazał Calvinowi Kleinowi nawlec igłę, nim złoży u niego zamówienie?

– Nie. – Davis potrząsnął głową. – Ale gdyby nawet stary Calvin krzywo wszył lamówkę, sukienka i tak się nie rozleci, prawda?

Tu musiała przyznać mu rację.

– No dobrze – powiedziała – przejedziemy się, zgoda? Daj mi kluczyki. – Wyciągnęła rękę. Davis patrzył na nią bardzo długo.

– Może ja poprowadzę? – spytał w końcu.

– Nie ma mowy. – Energicznie pokręciła głową. – Ja muszę prowadzić, żeby dokładnie wyczuć samochód.

Ten jej uśmiech! Był stanowczo zbyt urzekający. Żeby odegnąć niepokojące go myśli, Davis prędko wręczył Marie kluczyki. Usiadł na miejscu pasażera i obserwował ją uważnie. Uruchomiła silnik.

Obejrzał się za siebie. Na otwarty na oścież warsztat i sklep.

– Czy zamierzasz...? – zaczął.

– Ciiiicho – syknęła.

Był tak zaskoczony, że zamilkł posłusznie. Już bardzo dawno nikt go nie uciszał.

Pochyliła na bok głowę, przymknęła oczy i w skupieniu wsłuchiwała się w warkot motoru.

Po chwili otworzyła oczy, wyprostowała się i włączyła bieg.

– Co mówiłeś? – spytała.

– Nie zamkniesz swojego zakładu?

– To nie potrwa długo. – Uśmiechnęła się szeroko. Spojrzała przez ramię do tyłu, wcisnęła pedał gazu i wystartowała jak rakieta.

Wciśnięty w oparcie fotela, Davis miał wrażenie, że uczestniczy w rajdzie.

Wąskie uliczki dzielnicy nadmorskiej pełne były przechodniów, lecz Marie pewnie pędziła przed siebie. Szybko wyminęła autobus i gwałtownie skręciła w bardzo wąski, jednokierunkowy zaułek.

Tu i tam przechodnie machali do niej, pozdrawiali ją. Odpowiadała znajomym uśmiechami, nigdy nie odrywając oczu od drogi przed sobą. Obsługiwała sprzęgło, hamulec i gaz jak pianistawirtuoz. Z rosnącym zachwytem Davis śledził jej długie nogi przesuwające się po podłodze samochodu.

Dach kabrioletu był opuszczony. Morski wiatr szarpał i plątał czarne włosy Marie. Po raz pierwszy Davis jechał otwartym samochodem z dziewczyną, która nie lamentowała, że zniszczy się jej fryzura.

Kolejny zakręt Marie pokonała praktycznie na dwóch kołach i wcisnęła się między wyładowany furgon i leciwą limuzynę. Światło na sygnalizatorze przed nimi zmieniło się z zielonego na czerwone, bez żółtego po drodze. Marie zahamowała gwałtownie. A Davis z wdzięcznością pomyślał o twórcach pasów bezpieczeństwa i zacisnął wargi.

– Ma martwy punkt – powiedziała Marie, zerkając na Davisa.

– Co? – Z trudem otworzył usta.

– Silnik. Ma martwy punkt. Kiedy gwałtownie naciskasz gaz, przerywa i krztusi się.

– Masz rację. Ciekawe tylko, jak to zauważyłaś, pędząc przez cały czas z prędkością światła?

Roześmiała się. I był to naprawdę bardzo uroczy uśmiech.

Nim zdołał powiedzieć cokolwiek, ponownie zapaliło się zielone światło i znów gnali przed siebie. Ludzie, samochody, domy – wszystko dokoła zlewało się Davisowi w rozmazane barwne plamy.

Kilka sekund później znaleźli się przed warsztatem. Marie zahamowała energicznie, wyłączyła silnik i pieszczotliwie poklepała deskę rozdzielczą mustanga.

– Dobry samochódzik – pochwaliła auto.

Davis oddychał wolno, głęboko. Szczęśliwy, że uszedł z życiem. Zdarzało się mu być w ogniu walki, a mimo to wtedy bardziej optymistycznie oceniał szansę spotkania następnego dnia.

– Jeździsz jak wariatka – stwierdził.

– Mówisz jak mój tata. – Uśmiechnęła się.

– Co za mądry człowiek! – wycedził Davis. – Czy nie mógłbym z nim załatwić sprawy, zamiast z tobą?

Marie spoważniała w mgnieniu oka.

– Chciałabym, żebyś mógł to zrobić. Ale mój tata zmarł dwa lata temu.

– Och! Przepraszam. – Usłyszał żal i smutek w jej głosie. Najwyraźniej wciąż tęskniła za ojcem.

– Nie mogłeś wiedzieć o jego śmierci – powiedziała. – No, dobrze – dodała – mam zająć się twoim cackiem, czy nie?

Dostrzec problem i umieć rozwiązać go, to dwie zupełnie różne rzeczy. Ale jeżeli potrafiła naprawiać samochody tak samo dobrze jak prowadzić je, mógł chyba jej zaufać.

– Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle masz pojęcie o mechanice samochodowej? – spytał.

– Znikąd. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Będiesz mu – siał zaryzykować.

– Już dość ryzykowałem w życiu. Marie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Myślałam zawsze, że wy, piechota morska, lubicie ten dreszczyk emocji.

– Młoda damo, jestem niezwykle szczęśliwy, że nie prowadzisz czołgu.

– Ja też – odparła. – Choć chciałabym kiedyś spróbować.

– Nie wątpię.

Gdyby nie był tak ostrożny, polubiłby ją chyba od razu. Była zupełnie niezwykła. Nie mizdrzyła się, nie uśmiechała zalotnie. Po prostu była życzliwa. I miała urzekający uśmiech. Olśniewające oczy i nieprawdopodobnie zgrabną figurę.

– No to jak? Powierzysz mi swojego ulubieńca? Davis dostrzegł wyzwanie w jej spojrzeniu i zareagował natychmiast. W końcu był komandosem.

– Zgoda, samochodowy chirurgu.

– Chodźmy do biura. Wypełnię dokumenty.

Wysiadła z mustanga. A on prowadził ją wzrokiem. I wiedział, że już nigdy nie będzie umiał traktować mechaników samochodowych tak jak dotychczas.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marie czuła na sobie jego wzrok tak wyraźnie, jakby Davis jej dotykał. Na samą myśl poczuła dreszcze. Jednak resztki zdrowego rozsądku kazały jej zapomnieć o marzeniach. Mężczyźni jego pokroju nigdy nie zwracali uwagi na kobiety takie jak ona.

Usłyszała za plecami trzaśnięcie drzwiczek. Potem cichy odgłos kroków podążającego za nią komandosa. Zaszło jej w ustach. Dziwne. Była stanowczo zbyt dorosła, żeby peszyć się, gdy jakiś mężczyzna popatrzył na nią dwa razy. Cudowny mężczyzna, poprawiła się w myślach. Weszła za kontuar, sięgnęła po pióro i zaczęła wypełniać formularz.

Davis wszedł do środka i stanął tuż przed nią.

– A zatem... – zaczęła. Bardzo wierzyła, że zabrzmiało to rzeczowo i profesjonalnie. – Potrzebne mi twoje nazwisko, adres i numer telefonu.

Kiwnął głową i wyjął jej pióro z ręki. Musnął ją przy tym palcami, a ona poczuła mrowienie. Jakby przeniknął ją prąd elektryczny. Nie zdarzyło się jej to dotąd z żadnym klientem.

– Jak długo to potrwa? – spytał Davis, gdy skończył pisać. – Samochód jest mi potrzebny.

– Jak każdemu – odparła. – Ale jestem na to przygotowana. Naprawa nie powinna mi zająć więcej niż kilka dni.

– Robisz tu wszystko sama? – Spojrzał na nią spod oka. Czyżby nadal liczył na to, że jednak jakiś mężczyzna będzie naprawiał jego auto?

– Tak, sama – odparła, nieco niepewnie. – Tylko trzy razy w tygodniu przychodzi po południu Tommy Doyle. Przeszkadza ci to?

– To zależy. Kim jest Tommy Doyle i czy będzie grzebać w moim samochodzie?

– On ma szesnaście lat. I nie, nie będzie grzebał w twoim aucie. Sprząta tu i czasem mi w czymś pomaga.

Spojrzenie Davisa mówiło wyraźnie: „Trzymaj tego małego z dala od mojego samochodu”.

– Widzisz, sierzancie.

– Mów mi Davis.

Ani myślała. Żadnego spoufalania się z mężczyznami. Lepiej dla niej będzie, gdy zachowa pełny dystans. Sparzyła się już nie raz. I nie raz przekonała się, że mężczyźni nie mają ochoty na randki z mechanikami.

– A zatem, sierzancie, mogę zająć się twoim samochodem. Jeśli zostawisz mi go, dostaniesz na ten czas samochód zastępczy.

– Zastępczy? – Wysoko uniósł brwi.

– Tak. – Wiedziała, że komandos nie spodziewał się, iż w tak małym zakładzie mogą mieć zastępcze samochody. – Możesz jeździć tamtym garbusem.

Davis obejrzał się przez ramię. Na parkingu stał poobijany, szaroczerwony volkswagen. Plamy rdzy wyłazące spod lakieru sprawiały wrażenie, jakby auto miało trądzik.

Marie dostrzegła dziwny błysk w oczach swojego klienta i zmusiła się do uśmiechu.

– Nie jest może zbyt piękny – przyznała – ale na pewno dowiezie cię do bazy i z powrotem.

– Czy dowiezie mnie również do restauracji?

– Pojedzie, dokądkolwiek zechcesz – zapewniła. – Tylko pikolak z „Pod Pięcioma Koronami” może nie chcieć odprowadzić go na parking.

Davis oczyma wyobraźni zobaczył tego odrapanego garbusa na eleganckim podjeździe najlepszej restauracji w okolicy i roześmiał się głośno.

– Miałem na myśli jedną z tych kawiarenek, które minąłem po drodze tutaj. Gdybym mógł zaprosić cię na lunch...

Marie poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Powinna bardziej panować nad sobą. I zapanuję, dopóki będę mechanikiem, pomyślała. Zazwyczaj mężczyźni nie dostrzegali w niej kobiety. Dlatego gdy jeden z nich dostrzegł, nie wiedziała, jak zareagować.

– O trzeciej po południu? – Zmusiła się do kpiącego uśmiechu. Chciała pokazać, że nie potraktowała poważnie zaproszenia. – Chyba trochę za późno na lunch.

– I trochę za wcześnie na kolację – przyznał Davis. – Ale przecież dadzą nam chyba coś do jedzenia?

– Hm. Dziękuję. – Potrząsnęła głową i podała mu wypełniony formularz.

– Poza tym, że mam jeszcze dużo pracy, nie umawiam się z...

– Z żołnierzami?

– Z klientami – sprostowała. Choć gdyby chciała być całkiem szczerą, powinna była powiedzieć: „W ogóle się nie umawiam. Z nikim”. Nie umiała nawet przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz szła na randkę.

Nie. Nieprawda. Pamiętała doskonale. Choć bardzo chciała o tym zapomnieć. Jak każda rozsądna kobieta.

To zdarzyło się dwa lata wcześniej. Tuż przed śmiercią taty. Upojny wieczór skończył się, nim jeszcze zdążył się rozpocząć. Jej partner nie potrafił nawet zarezerwować stolika.

– W takim razie – powiedział Davis, po raz kolejny tajemniczo się uśmiechając – nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać, aż formalnie odbiorę samochód z twojego warsztatu i przestanę być klientem.

Czym to wszystko się skończy? pomyślała Marie. Podczas próbnej jazdy odniosła wrażenie, że ten komandos miał chęć ją udusić. A teraz uśmiecha się i zaprasza na lunch. Dlaczego?

I czemu jego błyszczące oczy przyprawiają ją o nerwowe drżenie? Takie jak wtedy, kiedy po raz pierwszy miała samodzielnie naprawiać hamulce. Spędziwszy całą młodość w warsztacie, u boku ojca, nie była przygotowana na

takie męsko-damskie gierki.

– Umowa stoi? – ponaglił ją Davis.

Na szczęście warkot wjeżdżającego na parking samochodu uratował ją przed koniecznością udzielenia odpowiedzi. Przybywała na odsiecz kawaleria w osobie jej młodszej siostry, Giny. Zawsze można było liczyć na to, że zajmie rozmową wszystkich mężczyzn w okolicy.

Gina szybko wysiadła z samochodu i dziarskim krokiem ruszyła do warsztatu. Ubrana w białe dżinsy, ciemnozieloną koszulkę i delikatne sandały wyglądała jak przedłużenie lata w samym środku bożonarodzeniowego szaleństwa. Tylko Marie wiedziała, ile godzin pracy kosztowało Ginę ułożenie krótkich, ciemnokasztanowych włosów w misterne loki. Na widok sierżanta jej brązowe oczy zaśmiały.

– Cześć, Marie! – Nawet nie spojrzała na siostrę. – Przyjechałam, żeby powiedzieć ci, że stracimy najlepsze wyprzedaje, jeżeli natychmiast nie zamkniesz warsztatu.

Była ocalona! Na śmierć zapomniała, że obiecała swojemu siostrzeńcowi wspólne świąteczne zakupy. Szczęśliwa, że znalazła pretekst, żeby pozbyć się Davisa Garveya, odparła ochotczo:

– Słusznie. Zaraz będę gotowa.

– Nie przedstawisz mnie? – zamruczała Gina. Jakby donikąd się nie spieszyła. Nie czekając na reakcję siostry, podeszła do Davisa i wyciągnęła rękę.

– Jestem Gina Santini. A ty...?

– Davis Garvey. – Uścisnął jej dłoń i uśmiechnął się zdawkowo.

– Jesteś komandosem, prawda? – spytała Gina słodko.

– Zgadza się. – Nawet nie zdziwił się, że i ona bez trudu odgadła jego profesję.

W jakimś odległym zakamarku duszy Marie poczuła ukłucie zazdrości. Nigdy nie potrafiła pojąć, jak jej o dwa lata młodsza siostra to robi. Flirtowanie przychodziło jej tak samo naturalnie jak oddychanie. Zwężonymi źrenicami obserwowała bacznie poczynania Giny. Siostra delikatnie musnęła ramię Davisa. Wystudiowanym gestem odgarnęła włosy z czoła. Roześmiała się perliście.

Przez te wszystkie lata Marie nieraz była świadkiem zabiegów Giny. Wiele razy z rozbawieniem obserwowała jej bezradne ofiary. Ale z jakiegoś niewiadomego powodu nie chciała zobaczyć Davisa Garveya śliniącego się i płaszczącego u jej stóp. Po raz pierwszy poczuła gniew.

Doprawdy, dziewczyna powinna mieć choć odrobinę godności!

Poza tym mogło przecież się zdarzyć, że sierżant zainteresowałby się nią, Marie. A cóż mogłaby zdziałać w obecności Giny?

A jednak Davis zaskoczył ją. Ani na moment nie spuszczał wzroku z niej, Marie. Nie z Giny.

Typowo kobieca satysfakcja rozgrzała jej duszę. A kiedy spojrzała Davisowi prosto w oczy, zrobiło się jej gorąco. Miał takie piękne oczy! W ogóle

był przystojny jak diabli.

Kiedy Gina umilkła, by złapać oddech, zwrócił się do Marie:

– Jeżeli dasz mi kluczyki do tego zastępczego auta, zostawię mój samochód i będziecie mogły pojechać po zakupy.

– Dobrze. – Marie powinna się wstydzić swojej reakcji. Zdumienie i zaskoczenie Giny sprawiły jej przyjemność. Z uśmiechem wyjęła kluczyki z szuflady.

Davis sięgnął po nie i na mgnienie oka dotknął dłoni Marie. Znowu poczuła prąd elektryczny przeszywający jej ciało. Żeby zapanować nad sobą, zacisnęła dłoń.

Ale nie było łatwo.

Tymczasem Davis uśmiechał się, jakby wiedział, co dzieje się w jej duszy.

– Będiesz dobrze opiekować się moim samochodem? Czy naprawdę zabrzmiały w jego głosie te znaczące nutki, czy to tylko ona chciała je usłyszeć?

– Co wieczór będę śpiewać mu kołysanki i tulić do snu.

– Szczęśliwy samochód – mruknął.

Znowu poczuła ucisk w żołądku.

– Odbieram go za dwa dni? – upewnił się na wszelki wypadek.

– No, tak. Za dwa dni – odparła Marie.

– Zatem do zobaczenia. – Odwrócił się, do wyjścia. Kiwnął głową Ginie. Zatrzymał się jeszcze, spojrzał na Marie i powiedział:

– Pomyśl o lunchu.

Kiedy maszerował w stronę volkswagena, Gina zbliżyła się do siostry. Obie patrzyły za nim, aż wyjechał z parkingu i zniknął za zakrętem.

– Zaprosił cię na lunch? – spytała Gina.

Czemu siostra powiedziała to takim tonem, jakby pytała: „Czyżby porwali cię kosmici?”.

– Owszem, zaprosił mnie na lunch. Naprawdę tak trudno w to uwierzyć?

– Jasne, że nie. – Gina poklepała ją po ramieniu. – Pójdiesz, prawda?

– Nie.

– Dlaczego? Ten komandos jest cudowny.

– Jest moim klientem.

– Jakież to staroświeckie. – Gina przeszła do drugiego końca pulpitu i wyjęła z szuflady batonik. – Naprawdę powinnaś zacząć żyć.

– Dziękuję, już żyję. – Marie zamknęła wewnętrzne drzwi do warsztatu i wyprowadziła Ginę na zewnątrz. Potem ustawiła samochód Davisa obok starego fiata, czekającego na naprawę hamulców. A Gina wciąż mówiła.

– No, dobrze! Niech ci będzie! W takim razie potrzebne ci są okulary. Zauważyłaś, jak na ciebie patrzył?

– Musiał patrzeć na mnie, kiedy ze mną rozmawiał. Jest dobrze wychowany.

– Dobre wychowanie nie ma tu nic do rzeczy.

– Przestań, Gino.

– Ja? – zawołała, odgryzła kawałek batonika i machnęła ręką. – Posłałam mu mój najlepszy uśmiech, zatrzepotałam rzęsami. I nic. Jakby mnie tam w ogóle nie było.

Marie z uśmiechem potrząsnęła głową.

– To, że nie zwrócił uwagi na ciebie, nie oznacza, że interesował się mną.

– Kochanie – powiedziała Gina – jeśli mężczyzna patrzy na ciebie w taki sposób, chociaż jesteś mechanikiem samochodowym, to na pewno nie robi tego z grzeczności.

Słowa siostry sprawiły Marie niekłamaną przyjemność. Jednak szybko przywołała się do porządku. Nie zamierzała przeżywać tego wszystkiego jeszcze raz. Wmawiania sobie, że Davis się nią interesuje. Oddawania się marzeniom i szalonym fantazjom. I leczenia zranionego serca, gdy rzeczywistość da jej kopniaka.

Dziękuję, nie. Już to przerabiałam, pomyślała. Zbyt wiele razy. Nie w ostatnim czasie, rzecz jasna, ale wspomnienia były jeszcze zbyt żywe i bolesne.

– Powiedz szczerze, Marie, naprawdę nie lubisz mężczyzn?

– Czemu miałabym ich nie lubić?

– To zdobądź się choć na niewielki wysiłek, u licha!

– Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz, siostrzyczko? Mam walnąć gościa w głowę kluczem francuskim i zawlec do warsztatu?

– Kobieta powinna robić, co do niej należy.

– Daj mi spokój, Gino, dobrze? – Marie wystukała na klawiaturze kod systemu alarmowego, wypchnęła siostrę z garażu i dokładnie zamknęła drzwi. – Jestem zupełnie szczęśliwa. Możesz wierzyć mi albo nie, ale uważam, że mężczyzna nie jest konieczny do tego, by życie kobiety było udane.

– To nic nie boli – wymamrotała Gina z ustami pełnymi czekolady. Zwinęła paperek i wcisnęła do kieszeni.

Jeszcze jak boli, pomyślała Marie.

– Tym razem nic. – Dla większego efektu zrobiła pauzę. – Powtarzam, nic z tego nie będzie. Sierżantowi chodzi tylko o to, żeby silnik pracował bez zarzutu.

– Założę się, że to całkiem niezły silnik. – Gina roześmiała się łobuzersko.

Z trudem, bo z trudem Marie także zmusiła się do śmiechu.

– Dobry Boże, dziewczyno – zawołała – łyknij jakąś pigułkę. Zameczysz się kiedyś przez te swoje hormony na śmierć.

– Lepsze to, niż gdybym miała umrzeć z nudów. Marie, niestety, pożyczyła swój samochód mamie, więc musiała znosić kolejne ataki młodszej siostry.

– Moje hormony mają się dobrze – odparła. – Ale dziękuję za troskę.

– Wiesz, Marie, czasami odnoszę wrażenie, że ty ich w ogóle nie masz.

Oj, mam, pomyślała Marie, kiedy odjeżdżały z parkingu. Nawet nie

wiesz, jak bardzo są aktywne.

Dzięki wieloletniemu doświadczeniu potrafiła okiełznać ich swawole. Choć musiała przyznać, że Davis Garvey podzielał na nią jak mało kto.

– Uśmiechnij się, siostró – poprosiła Gina. – Może Święty Mikołaj zostawi ci jakiegoś komandosa w skarpecie?

To naprawdę byłby niezły pomysł.

Davis przejechał przez bramę. Skinął ręką wartownikom, nie zwracając uwagi na ich tłumione chichoty. Tak, volkswagen z zewnątrz robił piorunujące wrażenie. Natomiast silnik mruczał jak kociak.

Co za niezwykła dziewczyna.

Nie tylko sprawiła, że jego ciało ożyło, ale jeszcze do tego znała się na samochodach. Gotów był już prawie polubić Marie Santini.

Na samą myśl o tym w jego głowie włączyły się dzwonki alarmowe. Co innego krótka, podniecająca przygoda, co innego poważne zaangażowanie. Nie chciał jej polubić. Wystarczyło mu, że jej pożądał.

Marie Santini kompletnie zawróciła mu w głowie. Ale czy mogło być coś złego w krótkiej, acz szalonej znajomości?

Baza Pendleton miała być jego domem na jakieś trzy lata. Później mógł zostać przeniesiony. Zawsze bardzo uważał, żeby nie wiązać się zbyt mocno z konkretnymi miejscami. Pragnął móc opuszczać je bez kłopotów. Davis Garvey nigdy i nigdzie nie zostawał na długo.

To właśnie podobało się mu w armii najbardziej. Ludzie tacy jak on, bez korzeni i przeszłości, idealnie w niej się odnajdywali. Komandos nigdy się nie zadomawia. Przyjeżdża, wykonuje swoją robotę i wyjeżdża. Równie dobry sposób na życie jak każdy inny. Daje możliwość poznawania świata. A przy tym nie pozwala pozostać w jednym miejscu na tyle długo, by człowiek spostrzegł, że zupełnie do niego nie pasuje.

Skręcił w wąską, prawie pustą uliczkę wiodącą do kwater podoficerów. Minał kantinę, małe jak zabawka kościółek i boisko do baseballu, gdzie grupa chłopców biegała tam i z powrotem po asfalcie. Wszystkie dachy, okna i drzwi przystrojone były kolorowymi, migoczącymi lampkami.

Znowu Boże Narodzenie. Jedyny dzień w roku, kiedy prawie zazdrościł kolegom. Na szczęście skończy się szybko.

Zatrzymał auto na parkingu, zamknął je i ruszył do swojego pokoju. Podobnego do wszystkich, w których mieszkał przez ostatnich piętnaście lat.

Sięgał właśnie do klamki, gdy drzwi obok otworzyły się i stanął w nich jego sąsiad, sierżant Mike Coffey.

– Widzę, że trafiłeś do Santinich. – Wskazał na garbusa.

– Rozpoznałeś samochód dla klientów, co?

– No. – Mike uśmiechnął się. – Jeździłem nim w zeszłym miesiącu.

Davis schował kluczyki do kieszeni, przechylił głowę na bok i spojrzał na kolegę.

– Jak to się stało, że nie powiedziałeś mi, iż ta cudowna pani mechanik jest taka przystojna?

– Przystojna? – zdziwił się Mike. – Szczerze mówiąc, nie zauważyłem.

Jak mógł nie zauważyć tych zielonych oczu? Tych dołeczków w policzkach? Czy to Coffey oślepl, czy Davis zwariował?

– Mniejsza z tym, jak wygląda – powiedział Mike. – Ważne, że na samochodach zna się jak nikt.

Hm! Może dla Mike'a nie miało to znaczenia. Ale Davis wciąż miał ją przed oczami.

– Lepiej, żeby to była prawda – mruknął.

– Nie martw się. – Mike roześmiał się głośno. – Twój mustang jest całkowicie bezpieczny.

Martwić się?! Do diabła, Davis był przerażony! I wtedy przypomniał sobie uśmiech Marie oraz wyraz skupienia na jej twarzy, gdy wsłuchiwała się w odgłosy silnika. I zrozumiał, że Mike ma rację. Nie miał powodów do obaw. Przynajmniej gdy chodziło o samochód.

– Zaufaj mi – powiedział Mike. – Kiedy Marie raz zajmie się twoim wozem, już nigdy nie będziesz chciał, żeby dotykały go inne ręce. – Kiwnął dłonią i wrócił do swojego pokoju. Zaś Davis długą chwilę stał bez ruchu i myślał o rękach Marie Santini. Silnych, szczupłych, delikatnych i wprawnych.

I musiał przyznać, że kiedy o nich myślał, wcale nie przy swoim samochodzie je widział.

ROZDZIAŁ TRZECI

Czy mogłabym zabić siostrę podczas rodzinnego obiadu? Jasne, że tak, pomyślała Marie.

– Żeby tak z tego miejsca nie wstała! – zawołała Gina z emfazą. – Mówię wam, że gdyby nie był komandosem, zostałby modelem albo kimś w tym stylu.

Marie zacisnęła zęby. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Przecież zdawała sobie sprawę, że Gina wciąż będzie mówić tylko o Davisie Garveyu. Wszak przez całe popołudnie wałkowała wyłącznie ten jeden temat. Nawet na zatłoczonym bazarze.

Marie westchnęła cichutko z tęsknoty za zacisznym warsztatem.

– Rozumiemy doskonale, kochanie – Maryann Santini uśmiechnęła się do najmłodszej córki – że jest niesamowicie przystojny.

– Więcej niż przystojny – sprostowała Gina i zerknęła na Marie. – Czy nie mam racji?

Gdyby dano jej sposobność, której nie miała, Marie mogłaby powiedzieć bardzo dużo. Na przykład, że w tradycyjnym rozumieniu Davis wcale nie jest specjalnie przystojny. Tym, co kazało zwrócić na niego uwagę, była emanująca zeń wewnętrzna siła, która zrobiła na niej tak piorunujące wrażenie. Na Ginie zresztą też.

– Myślę, że wyczerpałaś już ten temat – bąknęła tylko. Nie speszona Gina uśmiechnęła się promiennie.

– Powiedziałam jedynie, że to prawdziwy przystojniak i że patrzył na Marie tak, jakby była ostatnim stekiem na ruszcie.

– Najuprzejmiej dziękuję za uroczne porównanie – wycedziła Marie. Choć gdzieś na dnie duszy poczuła, że chciałaby, by Gina miała rację.

– Jest to zatem miły, młody człowiek, tak? – Mama wbiła pytające spojrzenie w średnią córkę.

Marie westchnęła cicho. Nawet gdyby Davis wyglądał jak maskaron, mamie wcale by to nie przeszkadzało. Byle tylko był „miły”. A jeszcze lepiej, żeby był z pochodzenia Włochem.

Należało szybko wyprowadzić mamę z błędu. Maryann Santini uwielbiała romanse. A przy tym wciąż miała nadzieję, że Marie znajdzie sobie wreszcie chłopca. W jej przekonaniu feminizm nie był taki zły, tylko nigdy nie prowadził do hucznego wesela i gromady dzieci.

– Skąd mam, na Boga, wiedzieć, czy on jest miły?! – zachnęła się Marie. – Ledwie go znam. Naprawiam jego samochód. To wszystko. Koniec historii.

Gina parsknęła śmiechem.

– Wydaje się zainteresowany tobą – nie ustępowała mama.

– To Gina tak uważa.

– Gina ma w tych sprawach duże doświadczenie – powiedziała pani

Santini. Posłała najmłodszej córce serdeczny uśmiech.

Miało to, oczywiście, oznaczać, że Gina potrafi zwracać na siebie uwagę mężczyzn. Czyli to, czego Maryann nigdy nie umiała nauczyć Marie. Ale, jak widać, wciąż jeszcze nie traciła nadziei.

– Co prawda, nikt mnie nie pytał o zdanie – odezwała się cicho Angela, najstarsza z córek rodu Santinich – ale kogo to w ogóle obchodzi, czy on jest zainteresowany Marie? Przecież widać wyraźnie, że jej wcale na tym nie zależy.

– Dziękuję, sestro – powiedziała Marie. Była zaskoczona, ale jednocześnie uradowana niespodziewanym wsparciem. – Wreszcie usłyszałam głos rozsądku.

– Poza tym Gina prawdopodobnie myli się – ciągnęła Angela. Jednocześnie nalewała mleko do szklanki swojego synka, Jeremy'ego. – Przecież Marie przy pracy w najmniejszym nawet stopniu nie może być obiektem męskich spojrzeń i westchnień. Te wszystkie smary i brudy! Jaki mężczyzna dostrzegłby w tym choć odrobinę powabu?

No cóż, raz jeszcze dziękuję, pomyślała gorzko Marie.

– Jest na to doskonały sposób – odparła cicho. – Ubiorę się w jedną z twoich sukni balowych, kiedy będę rozbierać silnik. I wiesz co? Włożę jeszcze nieduży, gustowny diadem. Pomyśl tylko, jak wspaniale lśnić będą brylanty w świetle jarzeniówek.

– Bardzo śmieszne! – warknęła Angela.

– A mnie ciocia Marie podoba się taka, jaka jest – wtrącił Jeremy.

Marie uśmiechnęła się i mrugnęła do chłopca porozumiewawczo.

– Czy już ci mówiłam, że jesteś moim ulubionym ośmiolatkiem?

– Tak – przyznał Jeremy. – Ale myślę, że powinnaś powiedzieć to również Świętemu Mikołajowi. Tak na wszelki wypadek. Żeby i on wiedział, jaki jestem.

– Możesz na mnie liczyć, bracie! – Na chwilę posmutniała. Uświadomiła sobie, że jej największym wielbicielem jest jej siostrzeniec.

Mama i siostry nadal rozmawiały na jej temat. Ona jednak przestała zwracać na to uwagę. Starła się tylko zjeść jak najszybciej obiad. W końcu to, co one myślą, zupełnie nie ma znaczenia, pomyślała. Ale to nie była prawda. To miało znaczenie.

Należenie do żywej rodziny było zarazem błogosławieństwem i przekleństwem.

Popatrzyła na twarze osób siedzących wokół stołu. Ten mebel stał w tym domu od zarania dziejów. Ciężki, mahoniowy stół, wypolerowany przez wiele pokoleń Santinich, dumnie ukazywał rysy i zadrapania jak zaszczytne, bojowe szramy.

Oto Gina Zawsze pewna siebie, energiczna za trzech. Angela. Uroczą i znacznie spokojniejszą. Oraz smutniejszą, odkąd owdowiała trzy lata temu. A także Jeremy, pędzący przez życie z gracją słonia w składzie porcelany. I mama. Cierpliwa, kochająca i zawsze na miejscu.

Bardzo brakowało Marie taty. Smutek ścisnął jej serce. Już dwa lata minęły od jego śmierci. Tata był jedynym mężczyzną w życiu Marie, który akceptował ją bez zastrzeżeń.

Marie od urodzenia była urwisem. Odkąd zaczęła chodzić, praktycznie wychowywała się w warsztacie. Była synem, którego jej tata nigdy nie miał. Kochała go bardzo. Żałowała tylko, że jej zażyłość z mamą nigdy nie była tak bliska.

Angela, Gina i mama miały swoje babskie sprawy. Marie obserwowała je nieraz w zadumie. Musiała jednak przyznać, że nigdy nie czuła potrzeby przyłączenia się do nich.

Ale, mimo wszystko, pomyślała, jesteśmy rodziną. Zżytą, kochającą się rodziną.

Rodzina. Tradycja. Korzenie. Santini mieli to wszystko. A to bardzo ważne. Wiedzieć, że są ludzie, którzy kochają cię, wesprą i pomogą wyjść z każdej opresji.

– W takim razie – Gina podniosła głos, by zwrócić uwagę średniej siostry – jeżeli Marie nie jest, jak twierdzi, zainteresowana tym komandosem, proponuję, żeby zaprosiła go do nas na obiad. Wtedy same będziemy mogły go ocenić.

Cóż za wspaniałomyślność!

– To nie jest indyk na strzelniczy – oburzyła się Marie.

– Coś mi się zdaje, że ona protestuje zbyt gwałtownie – zauważyła Gina.

– Na litość boską! – Marie zirytowała się w końcu. – Przecież on nie jest ostatnim żywym mężczyzną na ziemi. Czemu tak się na niego uparliście?!

– A czemu ty tak bronisz się przed nim?

– Wcale nie. – Czyżby? Marie nerwowo poruszyła się na krześle.

– Świetnie – powiedziała Gina z zadowoleniem. – Postanowione. Zaprosisz go na obiad. Co ty na to, mamó? Może być sobota?

– Tak, oczywiście, jeśli Marie to odpowiada.

– Na nic takiego się nie zgodziłam – wtrąciła Marie stanowczo.

– Ale zrobisz to – powiedziała Angela. – Tylko po to, żeby udowodnić Ginie, że on nic cię nie obchodzi.

Marie posłała siostrze mordercze spojrzenie. Głównie dlatego, że tamta miała rację.

– Doskonale. Zaproszę go na sobotę. – I będę czuć się jak idiotka, że zaprosiłam obcego mężczyznę na rodzinny obiad, pomyślała. – Jesteście zadowolone?

Gina uśmiechnęła się. Angela skinęła głową. Mama już obmyślała menu.

Marie opadła na oparcie krzesła i obrzuciła zebranych ponurym spojrzeniem.

Rodzina potrafi czasem niezłe dać w kość.

Davis raz po raz naciskał przełącznik kanałów i bezmyślnie gapił się

obrazki w migające na ekranie telewizora. Zdecydowanie nie był w nastroju do oglądania telewizji. Była to jednak najprostsza metoda zagłuszania pustki i samotności, które nagle zagościły w jego kwaterze.

Wcale nie jestem samotny, zapewniał sam siebie w myślach. Odłożył pilota na stolik i sięgnął po kartonowe pudełko z chińszczyzną. Oparł stopy o blat stołu i wbił tępe spojrzenie w ekran. Cykl życiowy pszczoły miodnej nie interesował go ani trochę.

Lubił swoje życie. Fakt, że mógł jeść wprost z pudełka. Że nikt nie miał pretensji o panujący wokół bałagan. Lubił trzymać nie rozpakowane paczki i walizki tak długo, jak długo miał na to ochotę. Na ogół trwało to dwa lub nawet trzy miesiące. Lubił przenosić się co kilka lat z bazy do bazy. Oglądać nowe twarze, poznawać nowe miejsca.

Nowe twarze. Przez cały wieczór miał przed oczami tylko jedną. Twarz Marie Santini.

Nigdy dotąd nie spędził tak dużo czasu na rozmyślaniach o dziewczynie, której właściwie nie znał. Czy sprawiły to jej zielone oczy, czy może zapierająca dech w piersiach jazda wąskimi uliczkami zrobiła na nim takie wrażenie? Przypomniał sobie, że zaprosił Marie na lunch, i zadrzał. Jeżeli półgodzinna znajomość takie niosła skutki, czy zdoła wytrzymać dłuższą?

Zdecydowanie wołał znajomości krótkie, niezobowiązujące. Tymczasem czuł, że Marie Santini ma dobre, czułe serce. Jej postać przywoływała na myśl obraz domowego ogniska. Podwójnie groźna kobieta.

Ale któż w końcu, jak nie komandos, powinien umieć stawić czoło niebezpieczeństwu?

Stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Przyjął to z prawdziwą ulgą. Odstawił pudełko z jedzeniem na podłogę i otworzył drzwi.

– Cześć – powiedział Mike Coffey. – Idziemy do miasta coś zjeść. Przyłączysz się?

Davis spojrzał przez ramię na mrugający w ciemnościach ekran telewizora, na resztki jedzenia w pudełku i poczuł nagle gwałtowną potrzebę wyjścia ze zbyt pustego mieszkania.

– Jasne. Tylko wyłączę telewizor.

Marie, odkąd skończyła naprawiać samochód Davisa Garveya, pracowała bez wytchnienia. Siedziała w biurze i robiła to, czego nie lubiła najbardziej – zajmowała się nudną, papierkową robotą. Zdecydowanie wołała leżeć pod samochodem, niż ślęczeć nad klawiaturą komputera. Ale, niestety, akurat nie miała pod ręką żadnego zepsutego auta. Jim Bester zabrał swojego fiata rano, a Davis powinien przyjechać po mustanga lada moment.

Davis.

Kiedy tylko się zjawi, będzie musiała zaprosić go na obiad.

Mrucząc coś gniewnie pod nosem, cisnęła pióro na biurko i wstała. Nie powinna była dać się sprowokować Ginie. Przecież Davis może w ogóle nie

chcieć skorzystać z takiego zaproszenia.

Poszła do warsztatu. Z drugiej strony, pomyślała, nie był to w końcu całkiem dziwny pomysł. Każdego roku, w okresie świątecznym, organizowano w miasteczku nieformalną akcję: „Przygarnij komandosą”. Młodzi żołnierze bywali zapraszani do wielu domów, by choć na kilka chwil mogli zamienić samotność koszar na ciepło domowego ogniska. Marie pomyślała, że tak właśnie mogłaby potraktować zaproszenie Davisa do nich.

Oczywiście. Czemu nie? Oczywiście wyobraźni ujrzała samotnego żołnierza, oderwanego od rodziny i domu. Choć Davis zupełnie nie wyglądał na samotnego, młodego żołnierza.

– Poza tym, to przecież Boże Narodzenie – powiedziała głośno.

– Według mojej rachuby – znajomy, głęboki głos dobiegł od drzwi za jej plecami – do świąt mamy jeszcze jakieś trzy tygodnie.

Zaskoczona Marie obróciła się na pięcie.

– Czy wszystkich komandosów uczą podkradania się do nie spodziewających się niczego cywilów?

– Oczywiście. – Davis stanął tuż przed nią. – Zakradanie się i podchody. Obowiązkowy kurs.

Stoi zbyt blisko, pomyślała Marie. Stanowczo zbyt blisko.

Czuła cytrusowy zapach jego wody toaletowej. Dostrzegła maleńką szramę na policzku. Musiał skaleczyć się przy goleniu.

Co się ze mną dzieje? Czemu żołądek podchodzi mi do gardła, jakbym siedziała w jakiejś zwariowanej kolejce górskiej w lunaparku?

– No, tak... – Z trudem próbowała złapać oddech. – Mam nadzieję, że dostałaś piątkę.

– Nawet piątkę z plusem. – Davis zbliżył się jeszcze bardziej i Marie cofnęła się o krok. – W naszej pracy oczekują od nas, że będziemy umieli poruszać się bezszelestnie.

– Taak – bąknęła. – To jest na pewno bardzo przydatne w dżungli.

Roześmiał się. Był to najprzyjemniejszy śmiech, jaki kiedykolwiek słyszała.

– No, dobrze. Mój samochód gotów?

– Tak, gotów. – Im szybciej ten sierżant go zabierze, tym lepiej, pomyślała Marie. Nazbyt pochłaniały ją rozmyślenia na jego temat. Przez ostatnie dwa dni wciąż miała przed oczami jego twarz, całą jego postać.

– To świetnie. – Ujął ją pod ramię. Nawet przez gruby sweter poczuła na skórze elektryczne iskierki. Cofnęła się gwałtownie, uwolniła rękę i, obchodząc Davisa dużym łukiem, poszła do biura. Żeby uspokoić myśli szalejące w głowie, przepowiadała sobie po cichu tabliczkę mnożenia.

Przeszła za kontuar. A on stanął tuż przed nią, po drugiej stronie. Wsparł dłoń na gładkim plastiku i czekał, aż Marie na niego spojrzy.

– To co z naszym lunchem? – spytał.

– Nic – odparła. W myślach pomnożyła cztery przez dwanaście. Gdyby

przyjęła zaproszenie, oznaczałoby to, że interesuje się Davisem. A przecież tak nie jest, przekonywała samą siebie. Poza tym żołądek miała tak ściśnięty, że z pewnością nie przełknęłaby ani kęsa.

– Dobrze pamiętam, że nigdy nie umawiasz się z klientami?

– Nie. To nie o to chodzi. – Zaprosz go! pomyślała. Zaprosz go na obiad i udowodnij siostrze i mamie, że wcale nie zrobił na tobie wrażenia. Cholera! Możliwe, że i sobie samej powinna to udowodnić. – Pomyślałam sobie tylko, że może zamiast tego wolałbyś zjeść obiad. U mnie w domu.

Zaniemówił. Przez całą drogę do warsztatu przekonywał sam siebie, że nie ponowi zaproszenia. Kobieta, która w tak krótkim czasie zrobiła na nim tak wielkie wrażenie, powinien omijać jak najdalej.

Jednak gdy ujrzał ją ponownie, gdy stanął tak blisko, że poczuł delikatny zapach jej perfum, kiedy spojrzał w te przepastne zielone oczy, zrozumiał, że musi spędzić z nią jeszcze trochę czasu. Choćby miało to być nie wiadomo jak ryzykowne.

Trwał bez ruchu, zdumiony. Nie mógł pojąć zmiany, jaka się w niej dokonała. Dwa dni wcześniej nie chciała pójść z nim na lunch, a teraz zaprasza go do siebie na domowy obiadek?

Marie Santini to niezwykle skomplikowana kobieta, pomyślał. Ale może warto by spróbować choć trochę ją rozszyfrować?

– No i co ty na to? – zapytała.

– Oczywiście przyjmuję zaproszenie – odparł. – Z przyjemnością.

– Doskonale. – Marie westchnęła z ulgą.

– O której? – Davis uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie i zdenerwowanie.

– Może... o szóstej – zaproponowała. Sięgnęła po kartkę papieru i szybko zapisała mu adres.

Gdy brał od niej notatkę, ich palce zetknęły się na mgnienie oka i oboje poczuli żar przenikający ich na wskroś.

Marie gwałtownie schowała rękę za plecami.

Co ja robię? pomyślał Davis. Jeśli iskrzy między nami tak łatwo, może z tego wyniknąć wielka pożoga.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie ma nic lepszego nad domowy obiadek we dwoje.

A powinien był wiedzieć! Powinien był zwietrzyć podstęp. Zbyt łatwo Marie zamieniła odmowę przyjęcia zaproszenia na lunch na zaproszenie go do domu.

Któż jednak mógł podejrzewać coś takiego? Potoczył wzrokiem po twarzach osób zgromadzonych wokół podłużnego stołu. Gina, zalotna brunetka, którą spotkał już wcześniej w warsztacie. Angela. Najstarsza z sióstr. Oszałamiająca wdówka. Matka ośmioletniego Jeremy'ego, którego skłonność do zadawania pytań czyniła zeń kandydata na pierwszorzędnego śledczego. U szczytu stołu zasiadała Maryann Santini. Mama. Jej zielone oczy, które odziedziczyła Marie, już od godziny bez przerwy wbite były w niego.

Kątem oka spojrzął w prawo, na Marie. Zastanawiał się, dlaczego nie uprzedziła go, że to będzie rodzinny obiad.

Oczywiście, gdyby to zrobiła, on na pewno nie przyjąłby zaproszenia. Zawsze krępowała go taka rodzinna atmosfera. Czuł się wtedy jak dziecko liżące łakocie przez szybę.

– No to dlaczego nie nosisz munduru? – powtórzył pytanie siedzący po drugiej stronie stołu Jeremy. – I gdzie masz pistolet?

– Zazwyczaj zdejmuję mundur przed wyjściem z koszar. I nigdy nie zabieram broni na obiad.

– Kurczę! No i figa z makiem! – mruknął mały.

Davis dobrze wiedział, co ten chłopiec czuł w tym momencie. Sam też spodziewał się płonących świec, butelki wina oraz miłej pogawędki. No i figa z makiem!

– Wystarczy! – skarciła Jeremy'ego matka. – Jak długo stacjonuje pan w bazie Pendleton? – zwróciła się do Davisa z uśmiechem.

– Około tygodnia, proszę pani. – Starał się jak najszybciej skończyć jedzenie, by wyjść z domu Santinich.

– Skąd pan pochodzi?

– Poczuję odbierałem ostatnio w Północnej Karolinie – odparł między jednym a drugim kęsem.

– Nie. To niewłaściwa odpowiedź. – Gina posłała mu jeden ze swoich zabójczych uśmiechów. Niezła jest, pomyślał Davis. Szkoda, że nie wzbudziła w nim zainteresowania. Z niewiadomego powodu jej ostentacyjne wdzięki nie robiły na nim takiego wrażenia, jak skromność Marie.

– Mojej siostrze chodziło o to, gdzie się urodziłeś? Gwałtownie zacisnął dłoń na widelcu. Wszędzie, pomyślał. I nigdzie.

– Gdzie przebywa pańska rodzina? – spytała mama.

– Nie mam rodziny, proszę pani. – Żywił nadzieję, że poniechają dalszej indagacji.

Powinien był wiedzieć. Przez całą poprzednią godzinę kobiety z rodu Santinich wyciskały z niego informacje na temat bazy i wojska w ogóle. I jego samego w szczególności. Wszystkie, prócz Marie. Kobieta, dla której znalazł się w tym domu, prawie na niego nie patrzyła. Psiakrew! Powinien był przewidzieć. Ona nie jest dziewczyną dla niego. Świadczył o tym przecież już sam wygląd jej domu rodzinnego. Zbudowany w starym stylu, miał szeroki ganek i wielkie okna wychodzące na zatokę. Cały obwieszony był barwnymi świątecznymi lampkami. Każdy krzaczek, każdą kolumnienkę okrzęcono sznurami pulsujących światełek. Zaś na kalenicy stały sanie Świętego Mikołaja zaprzężone w renifery. Słodki, świąteczny obrazek pełen rodzinnego ciepła. On, Davis, nie umiał zadawać się z kobietami takimi jak panie Santini.

Co więc tu robi, u diabła? Popelniam błąd, pomyślał. Straszliwy błąd.

Marie Santini i on pochodzą z zupełnie innych światów. Dla obojga lepiej będzie, gdy pozostaną w nich, każde w swoim, tak jak dotąd.

– Nie ma pan rodziny? – powtórzyła najstarsza pani Santini z niedowierzaniem. – Tak mi przykro. Musi pan bardzo tęsknić za bliskimi. Zwłaszcza o tej porze roku.

Davis milczał. Zastanawiał się, co pomyślałaby matka Marie, gdyby powiedział, że trudno tęsknić za czymś, czego nie miało się nigdy w życiu. Ale i tak nie zrozumiałaby. Żadna z nich. No bo i jak?

– Ale chyba nie spędzisz świąt samotnie, prawda? – spytała Gina.

– Oczywiście, że nie! – zawołała prędko Maryann. – Przyjdzie pan do nas.

Omal nie udławił się kolejnym łykiem. Dopiero duży łyk wina przywrócił mu zdolność oddychania. Spędzić Boże Narodzenie z kobietami z rodziny Santinich? Nigdy w życiu! Gorączkowo szukał jakiegoś zręcznego wykrętu, czując na sobie uważne spojrzenie trzech rozentuzjasmowanych par oczu.

Tylko Marie przez cały wieczór nie odzywała się prawie wcale. Jakby chciała pokazać, że dociekliwość całej rodziny drażni ją i peszy. Pozwoliła, by jej mama i Angela torturowały go pytaniami. By Gina trzepotała rzęsami i posyłała mu nieśmiałe uśmiechy. Nawet by mały Jeremy domagał się wciąż nowych opowieści o życiu i przygodach komandosów. Dostrzegła jednak po wyrazie twarzy Davisa, że rodzinka przeholowała. Nie wiedziała, które z zadanych pytań wstrząsnęło nim aż tak. Ale przecież to nie była sprawa ani jej, ani jej rodziny.

– Wiecie co? – powiedziała głośno. – Robi się późno. Obiecałam Jeremy'emu, że zabiorę go na trening z maszyną do baseballu.

– Super! – krzyknął mały, zeskoczył z krzesła i wybiegł z jadalni.

– Zgoda! – krzyknęła za nim matka. – Możesz odejść od stołu.

– Trening baseballowy? – zdziwił się Davis. Był rad ze zmiany tematu. – W grudniu?

– Zapisy do drużyny małej ligi będą już w lutym – wyjaśniła Marie, wstając. – Mój siostrzeniec musi dbać o formę.

Tak jak przewidziała, Davis skorzystał z okazji i również wstał od stołu.

– Chyba czas już na mnie – zauważył. – Pani Santini, bardzo dziękuję za wspaniały obiad.

– Proszę nazywać mnie mamą – odparła. – Wszyscy tak robią.

Davis zbladł.

Zmasowany atak damskich sił Santinich mógł powalić na kolana nawet komandosa.

We dwoje z Marie uciekli z jadalni. Pozostałe trzy kobiety szeptem wdały się w ożywioną rozmowę. Na piętrze słychać było tupot biegnącego Jeremy'ego. Marie wiedziała, że została jej tylko minuta, może dwie, by ostatecznie uwolnić się od Davisa.

Bo przecież chcesz tego, upewniła samą siebie w myślach.

Odprowadziła gościa do drzwi i otworzyła je szeroko.

– Dziękuję, że przyjechałeś – powiedziała.

On jednak nie wychodził. Stał bez ruchu i przyglądał się jej uważnie.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– O czym?

– Że będzie tu cała twoja rodzina.

– Doprawdy? Nic o tym nie wspomniałam?

– Nie.

– No, dobrze. – Marie mocno zacisnęła dłoń na klamce. Wciąż widziała zasepioną twarz Davisa siedzącego przy stole i ogarnęły ją wyrzuty sumienia. – Powinnam była ci powiedzieć, że Gina bardzo chciała spotkać cię raz jeszcze, no i pomyślałam...

Davis zrobił wielkie oczy. Dziwne dźwięki wydobyły się z jego krtani. Ni to kaszel, ni chichot.

– Ach, więc próbowałaś podsunąć mnie siostrze?

– Masz coś przeciwko mojej siostrze? – zapytała Marie wojowniczym tonem, choć jeszcze kilka minut wcześniej gotowa była zabić Ginę za próbę odbicia jej chłopaka.

– Nie, nic. Wszystko da się załatwić solidną dawką valium – mruknął. – Czy ona zawsze jest taka... ożywiona?

Marie schyliła głowę, żeby ukryć uśmiech.

– Ona ma bardzo ekspansywną osobowość.

– Można to i tak nazwać. – Davis zbliżył się do niej. – Ale to nie ja zaprosiłem na lunch, tylko ciebie – przypomniał.

– A ja zaprosiłam cię na obiad. Jesteśmy kwita.

– Niezupełnie.

Czy ćwiczył te powłóczyście spojrzenia, czy też urodził się z tym darem? pomyślała. Przestała niemal oddychać. Jego masywna sylwetka zdawała się przytłaczać ją. Notabene, całkiem zgrabna sylwetka.

Marie czuła, że za chwilę udusi się z braku powietrza.

– Dlaczego? – Z trudem wydobyła z siebie zduszony głos. – Czemu to

robisz?

– Co?

– Udajesz, że zależy ci na mnie.

– Kto tu udaje? – Delikatnie odgarnął jej włosy z czoła. Elektryzujący dotyk dłoni Davisa sprawił, że Marie zadrżała. Nerwowo cofnęła się o krok.

Przyglądała się mu przez cały wieczór. Słuchała go. I nieustannie powtarzała sobie, że przecież ten mężczyzna nie robi na niej żadnego wrażenia. Bo nie robił. Tylko czemu jedno muśnięcie jego palców natychmiast budziło szalone wizje?

– Jesteś gotowa, Marie? – Jeremy z hukiem zbiegł ze schodów.

– Tak – odparła z ulgą. – Wrócimy za godzinę! – zawołała w głąb domu.

Wyszli na zalany blaskiem świątecznych lampek ganek.

– To gdzie są te automaty treningowe? – spytał Davis.

– Czemu pytasz? – warknęła Marie.

– Od bardzo dawna nie odbijałem piłki. – Wzruszył ramionami. – Pomyślałem, że mógłbym rozerwać się trochę.

Tylko tego jej brakowało!

Z włosami związanymi w koński ogon wyglądała na nie więcej niż siedemnaście lat. Była wspaniała.

Davis przyglądał się z oddali, jak Marie uczy siostrzeńca sztuki władania kijem baseballowym. Rejestrował każdy ruch jej krągłych bioder opiętych ciasnymi džinsami. I ścisnął palce aż do bólu.

A ona w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Przez cały czas skupiała swoją uwagę tylko na malcu. Była cierpliwa, łagodna i zaskakująco dobrze obeznana z arkanami gry.

Zewsząd słychać było odgłos wystrzeliwanych piłek i głucho uderzenia pałek. Z głośników dobiegały dźwięki kolędy. Delikatny wiatr od oceanu chłodził zebrane tłumy.

Stada dzieciaków z obłędem w oczach pędziły między automatami do baseballu a salonami gier telewizyjnych. Wieki całe minęły, odkąd Davis ostatni raz był w takim miejscu. Bawił się świetnie. Wypił resztkę lury udającej kawę, zgniótł plastikowy kubeczek i cisnął go do kosza na śmieci.

I znów spojrzał na Marie. Zniewoliła go i nic nie mógł na to poradzić. Wiedział, że powinien natychmiast pojechać do domu i zapomnieć o seksownej pani mechanik. Ale nie potrafił. To jak ruszać do boju, pomyślał. Wiesz, że to niebezpieczne. Mówi ci to każdy nerw twojego ciała. Ale instynkt bierze górę.

Tak było i w tym wypadku. Instynkt podpowiadał mu, że powinien chwycić Marie w objęcia i pocałować. Gwałtownie, namiętnie i głęboko.

Poprawiła kask na głowie Jeremy'ego, poklepała go po nim i wyszła poza siatkowe ogrodzenie.

– Dobra, mały – zawołała. – Przygotuj się. Leci pierwsza piłka. Mocna i szybka.

– Wiem, wiem! – odparł chłopiec ze zniecierpliwieniem, które cechuje wszystkie dzieci, kiedy rozmawiają z dorosłymi.

– Dobrze sobie radziłaś – pochwalił Marie Davis.

– To wspaniały chłopiec. – Dziewczyna nie spuszczała oczu z Jeremy’ego. Pierwszą piłkę chybił. – Weź łagodniejszy zamach! – krzyknęła.

– Skąd tyle wiesz o baseballu? – Davis próbował podtrzymać gasnącą rozmowę.

– Od taty. Trzymaj kij w obu rękach! – zawołała.

– Nie sądziłem, że małe dziewczynki także grają w baseball.

– Witaj w dwudziestym wieku. – Uśmiechnęła się łobuzersko.

– Baseball i mechanika samochodowa? No, no!

– Co mam powiedzieć? Jestem kobietą renesansu. Tak było w istocie.

– Twoje siostry też grały? – Siostry nie obchodziły go ani trochę. Chciał tylko nadal słuchać łagodnego głosu Marie.

Roześmiała się i pokręciła głową. Ani na moment nie spuszczała przy tym oczu z Jeremy’ego. Jęknęła z dezaprobatą, gdy malec ponownie chybił.

– Angela i Gina? Grające w baseball? Nigdy w życiu.

– Byłaś więc wyjątkiem w rodzinie?

– Byłam? Wciąż jestem. – Skrzywiła się, gdy kolejna piłka uderzyła siostrzeńca w ramię. – Rozmasuj mocno, bracie, i szykuj się na następną! – zawołała.

Intrygowała go coraz bardziej. Nigdy przedtem nie poznał kogoś takiego. Żadna z dziewczyn, z którymi kiedykolwiek się spotykał, nie miała w sobie tyle życia co Marie.

– Jesteś także wyjątkowo cierpliwa – stwierdził.

– Myślałeś, że spuszczę manto Jeremy’emu? – Spojrzała kpiąco na Davisa.

– Nie – odparł z uśmiechem. – Ale dorośli robią się zwykle trochę nerwowi. Zaczynają strasznie wrzeszczeć, kiedy dzieciom nie idzie nauka.

– Doświadczenie życiowe przez nas przemawia, co? Gdy nie odpowiedział, popatrzyła na niego. Poczul, że jej wzrok przenika go aż do głębi, gdzie skrywał najtajniejsze sekrety. Wcale mu się to nie spodobało.

Zesztywniał. Spojrzał na nią ponuro, ucinając wszystkie pytania, które mogła chcieć zadać. Nie zamierzał rozmawiać – ani nawet myśleć – o swojej przeszłości. Wolał o teraźniejszości. Dzielonej wraz z nią.

– Cześć, Santini – usłyszał za plecami. Obejrzał się przez ramię i ujrzał jak wysoki, niezgrabny młodzieniec dał Marie klapsa. Krzyknęła. Davis zrobił krok, żeby stanąć między nią a intruzem. Odruchowo zacisnął pięści. Choć Marie odwróciła się, zaskoczona, masując pośladek, po chwili uśmiechnęła się radośnie.

– Nicky? Cześć! – zawołała. – Nie wiedziałam, że wróciłeś do miasta.

Davis rozprostował dłonie. Ale wewnątrz wciąż kipiał ze złości. Kim jest ten pętał, u diabła, żeby tak klepać Marie po tyłku?!

– Davis, to jest Nick Cassaccio. Mój przyjaciel.
– Cześć. – Nicky wyciągnął rękę. Davis ścisnął ją, nachmurzony.
Ciekawe, czy to rzeczywiście jej przyjaciel? I jak bliski?
– Jak ci poszło z Patty? – spytała.
– Dokładnie tak, jak przewidziałaś. – Nick uśmiechnął się szeroko.
– Cudownie. Bardzo się cieszę.
– O! Ja też. – Pociągnął ją za kucyk. – Muszę już lecieć, mała. Chciałem tylko się z tobą przywitać.
– Do zobaczenia, Nick – zawołała za nim.
– Mała? – powtórzył wolno Davis.
– Zawsze tak mnie nazywał. – Marie wzruszyła ramionami.
Davis zmarszczył brwi. Co mogło znaczyć „zawsze”?
– Kto to jest Patty? – spytał.
– Dziewczyna Nicka. Raczej narzeczona, mam nadzieję.
– Aha. – To dobrze. Ale w takim razie jakim prawem ten cały Nick poklepywał Marie? Ale, co ważniejsze, czemu jego w ogóle to obchodziło?
Nie obchodziło go to. Ani trochę! Instynktownie ruszył na ratunek napastowanej kobiecie. Nie miało najmniejszego znaczenia, że była to właśnie Marie. Sam w to nie wierzył.
– Za co ci tak dziękował?
Marie posłała mu szybkie spojrzenie i znów odwróciła się w stronę Jeremy’ego.
– To nic takiego, doprawdy. Patty zerwała z nim, a on przybiegł do warsztatu, cały we łzach. Wytłumaczyłam mu, że prawdopodobnie miała już dość czekania, aż poprosi ją o rękę.
– Poprosił?
– Jak widać. – Uśmiechnęła się.
– Trenerka baseballu, mechanik samochodowy i jeszcze lekarka złamanych serc – powiedział z podziwem.
– Jestem niezwykle utalentowaną kobietą – odparła.
– Zgadza się z tobą całkowicie. – Ostrożnie dotknął jej karku. Zadrżała.
On też. – Co, w takim razie – spytał cicho – możesz, droga Marie, poradzić mnie?
Straciła jego dłoń ze swojego karku i popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma.
– Chyba tylko tyle, żebyś przestał tak gorliwie udawać, że interesujesz się mną. I żebyś znalazł sobie bardziej obiecujące pastwisko.
– A jeśli nigdzie nie widzę takiego?
– W takim razie powinieneś pójść do okulisty. Czyżby ta dziewczyna naprawdę nie zdawała sobie sprawy, jak jest atrakcyjna?
– Wzrok mam w porządku. Dlaczego uważasz, że nie jestem tobą zainteresowany?
Parsknęła wymuszonym śmiechem.

– Nigdy nie byłam królową balu, sierżancie. Mężczyźni nie biegali za mną, wzdychając z miłości.

Ciekawe, czemu? pomyślał. Ale nie zapytał o to. Powiedział tylko:

– Może po prostu nie słyszałaś tych westchnień?

– Czyżby? To zupełnie jak ty.

Uśmiechnął się. Mądre to było, czy nie, wiedział już, że jej nie zostawi.

– Ciociu Marie – zawołał Jeremy. – Nic mi nie wychodzi.

– Staraj się tylko utrzymać równomierny zamach, kochanie. Davis popatrzył na chłopca i przed oczyma stanęło mu własne dzieciństwo. Kiedy o niczym nie marzył tak bardzo, jak o tym, by znaleźć się w małej lidze. Kiedy uważał, że nie ma na świecie nic ważniejszego, niż należeć do drużyny i być w czymś dobrym.

Jednak jego dzieciństwo całkiem różniło się od dzieciństwa Jeremy'ego. Dorastał w wielu sierocińcach. Nigdy nie wiedział, co przyniesie następny tydzień. Zawsze był sam.

Dopóki nie wstąpił do armii.

Odegnął niechciane myśli i wszedł za ogrodzenie.

– Spróbuj tak – podpowiedział i ułożył dłonie chłopca na pałce. Potem cofnął jego ramiona i powoli zademonstrował prawidłowe uderzenie.

Wyszedł poza ogrodzenie i wrzucił do automatu kolejną monetę. Nawet nie chciał myśleć, jak jest mu teraz dobrze. Razem z Marie, razem z tym malcem.

Wystrzeliła kolejna piłka. Jeremy, skupiony, zamachnął się i posłał ją wysoko, wprost w siatkę nad głową.

– Widzieliście?! – zawołał rozradowany. – Widzieliście, jak mocno ją walnąłem?

– Oczywiście – powiedziała Marie.

– Zrób to jeszcze raz – dodał Davis.

– Tylko patrzcie! – zawołał Jeremy i zajął pozycję.

– Dziękuję – szepnęła Marie.

– Nie ma za co – odparł.

Po raz pierwszy obdarzyła go promiennym uśmiechem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Dzięki, Davis – zawołał uradowany Jeremy. – To było fantastyczne.

Chłopiec wprost kipiał rozsadzając go energią. Davis znał żołnierzy, którzy wykazywali mniej woli walki niż ten dzieciak. Wciąż było mu mało gry. Kiedy uderzenia nie wychodziły mu tak, jak chciał, mocniej stawał na ziemi i ćwiczył jeszcze intensywniej. Niejeden szeregowiec z bazy mógłby uczyć się determinacji i uporu od tego malca.

Chłodny wiatr znad oceanu poruszył drzewami i krzewami. Świąteczne lampki migotały i roztaczały nad domem wibrującą tęczę.

– Byłeś świetny, chłopie – pochwalił go Davis i uśmiechnął się z aprobatą.

– Poćwiczymy jeszcze jutro? – Jeremy przeskakiwał z nogi na nogę.

Davis zawahał się. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wykorzystała to Marie.

– Sierżant Garvey nie ma czasu, żeby jeździć z tobą na treningi, Jeremy. – Potargała siostrzeńcowi włosy. – Ale niedługo razem się wybierzemy, zgoda?

Chłopiec spuścił głowę. Potem spojrzał na Davisa spod oka.

– Gdybyś nie był bardzo zajęty, to zawsze możesz przyjechać, wiesz?

– Zobaczymy, jak będzie. – Przecież nie mógł powiedzieć małemu, że interesuje go tylko Marie i jedynie dla niej tu przyjechał. Nigdy nie miał zamiaru poznawać jej rodziny.

Jakby czytając w jego myślach, Marie posłała mu surowe spojrzenie.

– Idź już do domu, Jeremy – poleciła. – Twoja mama pewnie zaczęła się niepokoić.

Chłopiec skinął głową i ruszy przez trawnik. Na schodach zatrzymał się, odwrócił i zawołał:

– Pamiętaj! Jutro. Jeśli będziesz mógł!

Davis uniósł rękę, lecz w panujących ciemnościach chłopiec chyba nie mógł dostrzec tego gestu. Kiedy Jeremy zniknął w głębi domu, Davis popatrzył na Marie. Po raz pierwszy tego dnia byli naprawdę sami. Co prawda niedokładnie na taką randkę liczył, przyjmując zaproszenie na obiad, ale teraz, kiedy on i Marie stali razem w podmuchach zimowego wiatru, wcale już nie dbał o to. Czul delikatny zapach kobiecych perfum. Z każdą chwilą narastało w nim niezwykle napięcie. Zatopił się w głębinie zielonych oczu Marie. Szukał w nich śladów uczuć. Ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dojrzeć.

Marie pierwsza przerwała panującą ciszę.

– Dziękuję za wszystko – powiedziała. – To miło z twojej strony, że zechciałeś poświęcić trochę czasu mojemu siostrzeńcowi. Może spotkamy się gdzieś jeszcze.

Jednym słowem: „Zmywaj się, sierzancie!”, pomyślał ponuro Davis.

– Gdzie? – spytał. Tylko po to, by jeszcze raz usłyszeć jej głos.

– No... gdzieś. Gdziekolwiek. – Marie wzruszyła ramionami. – To bardzo małe miasteczko.

Niedobrze! Taki wykręt źle rokował. Davis uznał, że natychmiast musi się dowiedzieć, kiedy nastąpi ich spotkanie.

– Co sądzisz o tym, żebym następnym razem to ja zaprosił ciebie na obiad? – spytał. – Bylibyśmy tylko we dwoje.

– Czemu miałbyś dokądkolwiek mnie zapraszać?

No właśnie, czemu? Powinien wsiąść do samochodu i wrócić do bazy. Ale jeszcze nie był gotów, żeby pożegnać się z Marie. Przyjechał tylko po to, by się z nią zobaczyć. Tymczasem przez cały wieczór byli sami tylko przez kilka chwil.

Zrobił krok w jej stronę. Nawet mimo ciemności dostrzegł lęk w jej oczach. Poruszyło go to bardziej, niż gotów był przyznać.

– Powiedzmy, że chciałbym pobyć trochę z tobą. Sam na sam.

Marie zaśmiała się, niby beztrąsko, lecz nie zdołała ukryć zdenerwowania.

– Przecież nie musisz się starać obłaskawiać mechanika – powiedziała. – Twój samochód jest już naprawiony.

– Kto tu mówi o moim samochodzie? – Davis zmarszczył brwi.

– Posłuchaj. – Marie cofnęła się o krok. – Doceniam, że byłeś miły dla Jeremy'ego. – Głos załamał się jej na chwilę.

– Mam na myśli to, że wspaniale nauczyłeś go uderzać piłkę. Ja skupiłam się raczej na tym, aby pamiętał o łagodnym zamachu, żeby wyrobił sobie podstawowe nawyki. Ale chyba każdy chłopiec pragnie przede wszystkim, by jego odbicie było piorunujące.

– Chyba tak – odrzekł Davis. Kiedy Marie ruszyła przez trawnik, podążył za nią. – Ale naprawdę wcale nie mam ochoty rozmawiać teraz o Jeremym.

– Chyba rzeczywiście na to wygląda – mruknęła Marie i westchnęła ciężko. – Nie zamierzasz odejść, prawda?

– Przynajmniej dopóki nie odprowadzę cię do drzwi twojego domu. – Davis uśmiechnął się szelmowsko. Potem spojrzał przez ramię na migocący lampkami dom. – Nawiasem mówiąc, musimy pójść w tamtą stronę.

– Tak, masz rację. – Marie skierowała się ku warsztatowi. – Ale ja mieszkam na piętrze.

– To dobrze. – Davis ucieszył się, że będą mogli spędzić kilka spokojnych chwil bez mamy Marie, jej siostr i siostrzeńca. Musiał tylko przekonać ją, żeby i ona chciała pobyć z nim sam na sam, bez asysty dość hałaśliwej rodzinie.

Przed schodami Marie przystanąła.

– No, dobrze, sierżancie. Misja skończona. Dotarłam bezpiecznie do drzwi swojego domu. Życzę ci dobrej nocy.

Davis wziął ją za rękę. Sam dotyk palców Marie sprawił, że serce wypełniło mu niezwykle ciepło. Wiedział, że i ona doznała tego samego. Nawet w panującym mroku wyraźnie dostrzegał malujące się na jej twarzy uczucia.

Spróbowała wyrwać dłoń, lecz on nie zwolnił uścisku.

– Ściśle rzecz biorąc – wyszeptał – jeszcze nie jesteś przed drzwiami swojego mieszkania.

– Kogo obchodzą takie szczegóły? – spytała drżącym głosem.

– Komandosów. Oraz mechaników.

Marie nerwowo oblizwała wargi. Zrobiła krok w tył i stanęła na pierwszym schodku. Davis postąpił tuż za nią.

– O co chodzi tym razem? – Znów bezskutecznie próbowała uwolnić dłoń. – Może o wymianę oleju?

Czy ta dziewczyna naprawdę uważa, że mężczyźni interesują się tylko jej umiejętnościami zawodowymi?

– A jak myślisz? – spytał.

Marie znowu cofnęła się o krok. Była coraz bliżej drzwi swojego mieszkania.

– Myślę, że pomyliłeś panny Santini. Gina została w domu mamy. Mogę ją zawołać.

Davis potrząsnął głową.

– Nie przyjechałem tu, żeby zobaczyć się z twoją siostrą. Do diabła! Sądziłem, że to będzie obiad we dwoje. Przecież dobrze o tym wiedziałaś, prawda?

Jeszcze jeden krok. Marie omal się nie potknęła. Tylko tego brakowało, żeby teraz upadła. Przy okazji naraziłaby się armii, zabijając po drodze sierżanta piechoty morskiej. Z drugiej jednak strony, gdyby udało mu się przeżyć, wyładowałiby u podnóża schodów, spleceni w mocnym uścisku. Zabrakło jej tchu w piersiach natychmiast po tym, jak wyobraziła sobie tę scenę.

Może gdyby potrafiła uwolnić rękę, zdołałaby również pozbierać nieposłuszne myśli. Jednak Davis ani trochę nie zmniejszył uścisku. Jeszcze jeden krok. Ostrożnie, Marie, ostrożnie, powtarzała sobie w duchu.

Odetchnęła głęboko. Jak on oszałamiająco pachnie, pomyślała. Zrozumiała, co musieli czuć biedacy z wrogich armii, których oglądała w kinie. Komandosi nigdy nie ustępują. Zawsze w natarciu. Wciąż bliżej. Bliżej. Biedni, źli chłopcy na z góry upatrzonych pozycjach.

– Powiedz mi zatem – poprosił Davis – czemu, tak naprawdę, ściągnęłaś na ten obiad całą rodzinę?

– Nie ma nic przyjemniejszego niż rodzinny obiad, nie sądzisz?

– Jeśli rzeczywiście tak uważasz, to zaprosiłaś niewłaściwego chłopaka.

Marie była kompletnie zbита z tropu. Praktycznie podała mu Ginę na srebrnej tacy, a on zignorował kompletnie ten niespodziewany dar losu. Ale to nie mogła być prawda. Przecież wszyscy mężczyźni interesowali się Giną. Była błyskotliwa i wesoła, urocza i zgrabna. Miała to, co lubili najbardziej.

Zaś ona, Marie, była w końcu tylko mechanikiem samochodowym.

Jeszcze jeden krok do góry.

Ile jeszcze tych cholernych schodów muszę pokonać? pomyślała. Bała się

oderwać oczy od Davisa i spojrzeć za siebie. Wiedziała, że w wojsku nauczono go, jak wykorzystywać chwile słabości nieprzyjaciela.

W tym momencie znaleźli się na górze. Na małym ganeczku, po obu stronach drzwi, stały donice z geranium. Ostatnie przymrozki zniszczyły rośliny, a ona nie zdążyła jeszcze ich usunąć. Nie bądź głupia, skarciła się w myślach. Nie czas teraz martwić się kwiatami.

Zanurzyła wolną rękę w torebce w poszukiwaniu kluczy. Oczywiście ukryły się przed nią. Nie miała dokąd uciec. Mogła najwyżej rzucić się przez poręcz, w dół, na podjazd.

Mów coś, nakazała sobie. Cokolwiek.

– Jesteśmy na miejscu – poinformowała Davisa. Jakby sam tego nie zauważył. – No, to cześć! Dziękuję raz jeszcze.

A on, zamiast uwolnić jej rękę, przyciągnął ją bliżej do siebie. Poczuła dziwną miękkość w kolanach. Kiedy dotknął dłonią jej policzka, wydało się jej, że każdy jego palec płonie żywym ogniem. Oj, niedobrze. Oddychaj, Marie. Oddychaj głęboko. Davis uniósł jej twarz, aż spojrzała mu prosto w oczy. Przeczuwała. Była pewna, że chce ją pocałować.

– Ja... Myślę, że to nie jest dobry pomysł – wyszeptała cicho. – Prawie cię nie znam.

Davis uśmiechnął się. Na ten widok serce Marie natychmiast zatrzępotało gwałtownie w piersi.

– O pani! – zadeklamował. – Jestem komandosem. Możesz mi zaufać.

– Doprawdy? – pisnęła cichutko. – W czym? Pochylił się.

– We wszystkim – zdążył odpowiedzieć, nim ich usta zetknęły się w pocałunku.

Marie westchnęła ciężko. Zadrzała. W przeszłości całowała się z mężczyznami. Niezbyt często, lecz wystarczająco wiele razy, żeby nauczyć się nie zawadzać nosem o nos czy przygryzać wargi partnera. Ale nigdy żaden pocałunek nie przygotował jej na to, co stało się tego wieczora.

Świat najpierw zawirował, po czym cała ziemia zastygła w bezruchu.

Davis objął ją i przycisnął do siebie. Ona zarzuciła mu ręce na szyję. Z wolna traciła oddech. A gdy wsunął język między jej wargi, gdy powtórzył powolną pieśczętę, stała się już tylko jednym wielkim pragnieniem.

Serce waliło jej jak młotem. Kolana drżały. Wtuliła się w Davisa, poddała przenikającym ją na wskroś doznaniom. Kiedy Davis uniósł w końcu głowę i przerwał ten niewiarygodny pocałunek, Marie tylko dzięki sile jego ramion wciąż utrzymywała się na nogach.

– No to jak? – szepnęła. – Zjemy jutro razem lunch?

– Oczywiście. – Gdyby spytał, czy poleciałaby z nim na Księżyc, odparłaby tak samo.

– A zatem do zobaczenia. – Odszedł.

Słuchała oddalających się powoli kroków. Została sama. Kurczowo zacisnęła ręce na balustradzie i modliła się, żeby wróciły jej siły, zanim zacznie

padać deszcz.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślał Davis. Zatrzymał samochód przed warsztatem Marie i spojrzał w niebo. Nawet słońce zdecydowało się wyjść zza chmur.

Wysiadł z auta. Stał tuż przed zakładem, lecz nie dostrzegął go. Myślami nadal był przy pożegnalnym pocałunku przed drzwiami mieszkania Marie. I chociaż minęła już cała noc, wciąż czuł jej słodki ciężar w ramionach. Czuł bicie serca tej dziewczyny, smak jej ust, delikatny oddech muskający go po policzku.

Kiedy tylko ich wargi się zetknęły, zrozumiał, że Marie jest zupełnie inna niż pozostałe kobiety, które kiedykolwiek poznał. Ten jeden pocałunek dał mu o wiele więcej, niż Davis oczekiwał. I aż nadto, by poczuł obawę. Ale przecież nie dość, by skłonić go do rezygnacji. Pragnął bliżej poznać Marie, co nie znaczy, że myślał o tym, by poważnie zaangażować się w ten związek. Wolał trzymać się z daleka od jej rodziny.

Z głową pełną takich myśli wszedł do warsztatu. Nawet w sobotę Marie miała ręce pełne roboty. Gdy przekroczył próg, usłyszał, jak zakląła cicho.

– Cholera! – mruknęła pod nosem.

Uśmiechnął się do siebie. Nawet ona czasem traciła cierpliwość.

– Już jestem, Marie – oznajmił.

Rozległ się donośny odgłos metalowego narzędzia spadającego na betonową posadzkę. Chwilę potem spod uniesionej maski małej hondy wyjrzała Marie. Miała na sobie kombinezon, który nie powinien dodawać jej uroku. Ale dodawał. Włosy związała w koński ogon. Niesforny kosmyk wymknął się spod kokardy i opadł na policzek. Odgarnęła go. Na policzku została smuga smaru.

– Davis? Cześć! – Z tylnej kieszeni wyciągnęła ściereczkę i wytarła ręce.
– To już pora na lunch?

Mało entuzjazmu brzmiało w tym pytaniu, pomyślał. Ale dobrze, że w ogóle pamiętała.

– Tak. Jesteś gotowa?

– Prawdę mówiąc... – Zerknęła na hondę. – Nie.

– Nie?

Przepraszającym gestem uniosła w górę dłonie.

– Widzisz, jednej z moich przyjaciółek, Laurze, popsuł się dziś rano samochód. Bardzo poważna usterka. Obiecałam, że naprawię go najszybciej, jak to możliwe.

– Co to za poważna awaria, skoro zdołała tu dojechać? – Davis był pewien, że Marie szukała wykrętu, by uniknąć spotkania z nim.

– Ledwie się tu dowlokła. A naprawdę potrzebuje tego auta na jutro rano.

Czuł rosnące rozgoryczenie, lecz wziął się w garść. Przecież to miał być tylko lunch.

– Nie mogłaś dać jej samochodu zastępczego? – Spojrzał przez okno na parking. Był pusty.

– Niestety, w tym sęk. Wypożyczyłam wszystkie. Davis całkiem się w tym pogubił. Sądził, że samochody zastępcze przeznaczone były dla klientów zakładu. Tymczasem w hali warsztatowej stała tylko samotna honda. Dziwne, pomyślał.

– Komu je pożyczyłaś?

Marie wcisnęła szmatkę do kieszeni i skrzyżowała ramiona na piersiach. Wolno kiwała się na piętach. W przód i w tył. W przód i w tył.

– Tommy potrzebował auta, żeby pojechać na próbę orkiestry.

– Czy to ten chłopak, który u ciebie pracuje?

– Tak. – Marie uśmiechnęła się, zadowolona, że Davis pamiętał taki szczegół. – Margaret Sanders, znajoma mamy, koniecznie musiała pojechać do swojej córki, która właśnie urodziła bliźnięta.

– Oczywiście, musiała – zgodził się Davis. Dlaczego jednak owa Margaret Sanders nie mogła pojechać swoim samochodem, tego nie wiedział.

– A trzeci jest w tej chwili gdzieś w drodze do San Diego. Angela wybrała się tam po gwiazdkowy prezent dla Jeremy'ego.

– Do San Diego?

– W okolicznych sklepach zapas gier telewizyjnych skończył się już dawno. Masz pojęcie, jak szybko znikają ze magazynów? To wprost niewiarygodne!

Nie pozostało mu nic innego, jak uwierzyć jej na słowo. Nigdy nie musiał kupować prezentów pod choinkę. Dla nikogo.

– Ile czasu zajmie ci ta robota? – spytał Davis, spoglądając na hondę.

– Jakaś godzinę. – Westchnęła.

– Zaczekam.

Spuściła oczy i nerwowo przestąpiła z nogi na nogę.

– Jest coś jeszcze – powiedziała. – Wczoraj wieczorem, kiedy umawialiśmy się, zapomniałam...

Drzwi do biura otwarły się z trzaskiem. Jeremy stanął jak wryty. W jego oczach malowało się wielkie zdziwienie.

– Cześć! Jedziesz z nami? – zawołał radośnie.

– Z nami? – Davis spoglądał to na chłopca, to na Marie. Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się niepewnie.

– Zobaczyc Mikołaja – wyjaśnił Jeremy. – Nie prawdziwego, tylko tego w parku. Jego pomocnika.

– Mikołaja? – powtórzył zdumiony Davis. Malec uśmiechnął się.

– Niektórzy kumple twierdzą, że Mikołaja nie ma. Ale ja pomyślałem, że gdyby jednak był, to rozżłościłby się strasznie, że nikt w niego nie wierzy. I mógłby nie przynieść mi prezentów, o których marzę. Więc wolę go nie drażnić. Tak na wszelki wypadek, rozumiesz?

– Taak – bąknął Davis. Zastanawiał się, czy wszystkie dzieci mówią tak dużo, czy to tylko cecha członków rodu Santinich?

– Zatem najpierw auto Laury, potem Mikołaj? – Spojrzał w oczy Marie.

– Przepraszam, ale obiecałam.

– A obietnica to obietnica, prawda, Marie? – upewnił się Jeremy.

Davis myślał gorączkowo. Przecież nie mógł tak po prostu poddać się. Już tyle dni czekał, by spędzić trochę czasu z Marie. Sam na sam.

– A może – podszedł do niej bliżej – ja skończę naprawiać ten samochód, a ty zabierzesz Jeremy’ego do Mikołaja? Uporam się z robotą, zanim wrócicie. Potem odstawimy chłopca do domu i zdążymy jeszcze na lunch. – Salomon nie wymyśliłby lepszego rozwiązania, pomyślał.

– Nie ma mowy – powiedziała stanowczym tonem Marie.

– Dlaczego? Znam się na samochodach równie dobrze jak ty – Możliwe – odparła – ale to mój warsztat. Ja tu naprawiam samochody. To moja reputacja i moja odpowiedzialność.

– W porządku, rozumiem – przyznał z niechęcią. – Ale musi przecież być jakieś wyjście.

Davis kątem oka spojrział na przysłuchującego się ich rozmowie Jeremy’ego. Przyszło mu do głowy, że i ta sytuacja została ukartowana, podobnie jak tamten rodzinny obiad. Czyżby Marie aż tak rozpaczliwie starała się uniknąć spotkania z nim sam na sam?

Milczeli długo. W końcu Marie rzekła:

– Jest pewien sposób, jeśli się zgodzisz...

– Kobieto, mówiłem ci nieraz. Jestem z piechoty morskiej. Nas nic nie rusza.

– W takim razie – powiedziała – ty pojedziesz z Jeremym do Mikołaja. Zaś ja dojadę do was, kiedy tylko skończę naprawiać ten samochód. Spotkamy się w wiosce Świętego Mikołaja.

– Nie, zaczekaj! – Davis z trudem przekrzykiwał radosne wrzaski chłopca. – Musi być jakiś inny sposób. Pójdę do waszego domu. Przyprowadzę tu Ginę i ona...

– Gina poszła na lekcję tańca.

– A twoja mama?

– Jest u fryzjera.

– Angela...

– W San Diego – przypomniała.

Nagle Davisowi wydało się, że zewsząd otaczają go ciężkie, nieprzyjacielskie czołgi.

– To jedyne rozwiązanie – oświadczyła Marie.

Davis spojrział na czekającego w napięciu malca. Do diabła! Miał tylko dwa wyjścia. Ruszyć do ataku lub zrejterować. Jak każdy dobry komandos, błyskawicznie podjął decyzję.

– Zgoda.

Jeremy zawył radośnie i pognał do samochodu Davisa.

Wyprawa do parku w weekend, tuż przed świętami Bożego Narodzenia?!

Davis do boju ruszał bardziej pewien swych szans na przeżycie.

– Spotkamy się za godzinę. – Marie przerwała mu rozmyślenia. – Przed wejściem do chaty Mikołaja.
Chata Mikołaja? Rety!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Plac parkingowy przypominał pole bitwy. Jediną różnicą było to, że trudno było wskazać przeciwników. Każdy – zarówno mężczyzna, jak i kobieta – toczył wojnę na własny rachunek. Davis zacisnął kurczowo dłonie na kierownicy. Starał się mieć oczy dookoła głowy. Wojskowy trening przydawał się mu bardzo. Szukaj szansy ataku i chroń swoje flanki.

– Spóźnimy się – jęknął siedzący z tyłu Jeremy.

– Nic się nie martw, mały. Ja nigdy się nie spóźniam. Nagle zajechało mu drogę czerwone, odkryte bmw ze świątecznymi kokardami na masce. Kobieta zza kierownicy posłała mu łagodny, przepaszający uśmiech. Davis zacisnął szczęki. Postanowił zrezygnować z dalszych prób dojechania jak najbliżej parku. Zaparkował na najbliższym wolnym miejscu i wyłączył silnik. Spojrzał za siebie. Jeremy aż dygotał z podniecenia. Zaprzeczał czy nie, pełen był głębokiej wiary w Świętego Mikołaja. Davis spojrzął w rozgorzałe oczy i pomyślał, że przynajmniej świąteczne marzenia tego dzieciaka się spełnią. Kobiety z rodziny Santinich zadbają o to. Jeremy'emu nie groziło, że przebudzenie w bożonarodzeniowy poranek przyniesie mu tylko smutek i rozczarowanie.

Ponure wspomnienia opadły Davisa, lecz odtrącił je mężnie. Przeszłość nic nie znaczy, pomyślał. Przebył długą drogę od czasów, gdy był małym chłopcem, który bardzo wcześnie nauczył się, że ludziom nie wolno ufać.

– Idziemy? – spytał Jeremy, odpinając pas bezpieczeństwa.

– Tak. Chodźmy. – Davis zaczął nagle bardzo się spieszyć. Zaprzagnął jak najprędzej mieć za sobą tego całego Mikołaja.

Zamknął samochód i ruszyli do parku. Po drodze malec chwycił go za rękę i ciągnął. Byle szybciej dotrzeć do celu.

– Święta już blisko, wiesz? – zagaił.

– Dopiero za trzy tygodnie – odparł Davis.

– Czyli już blisko.

Wyglądało na to, że wszyscy wokół też tak uważali. Nawet koledzy w bazie. Wszyscy planowali urlopy i przepustki, by jak najwięcej czasu spędzić z rodzinami. Ci zaś, którzy musieli zostać w koszarach, szykowali wspólną uroczystość. Tylko dla Davisa był to najgorszy okres w roku.

Nawet nie dlatego, by miał coś przeciwko Bożemu Narodzeniu. Lecz te święta nieodmiennie kojarzyły się z rodziną. Zaś rodzina była jedynym, czego Davis nigdy nie miał. Nigdy nie zaznał, co to znaczy przebywać w gronie bliskich, życzliwych ludzi. Wszystkie domy dziecka, w których przebywał, były tylko miejscami, w których sypiał. Lub z których uciekał. Może były gdzieś dobre sierocińce, ale on takich nie znał.

Kiedy tylko osiągnął wymagany wiek, wstąpił do armii. Tam znalazł swoje miejsce na ziemi.

– Co chcesz dostać na Gwiazdkę, Davis?
– Co? – Otrząsnął się ze wspomnień. Akurat w porę, by zdążyli uskoczyć przed pędzącym samochodem.
– Co chciałbyś dostać na Gwiazdkę? – powtórzył pytanie Jeremy.
– Czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. Niespodziewanie stanął mu przed oczami obraz Marie. Owiniętej czerwoną wstążką i udekorowanej kilkoma różami. Tego jednak jej siostrzeńcowi powiedzieć nie mógł. – Nic.
Malec roześmiał się i pokręci głową.
– Każdy czegoś chce.
Chcieć i dostać, to dwie różne rzeczy. W głębi duszy Davis życzył chłopcu, by nigdy nie przekonał się o tym.
– A co chciałaby dostać ciocia Marie? – Jeremy zmienił trochę temat. – Wiesz?
Chłopiec uśmiechnął się i mocniej pociągnął Davisa. Wydawało się, że ani trochę nie zbliżyli się do parku.
– Ja dam jej nowy klucz do śrub – powiedział z dumą.
– Na pewno jej się taki prezent spodoba. – Davis uśmiechnął się.
– Wiem. – Jeremy był bardzo pewny siebie. – Gina mówi, że Mikołaj powinien dać jej chłopaka.
Davis wysoko uniósł brwi.
– Ale moja mama powiedziała, że Marie i tak nie wiedziałaby, co z nim zrobić.
Mając jeszcze w pamięci tamten pocałunek, Davis pomyślał, że mógłby dyskutować ze zdaniem Angeli. Ale przynajmniej dowiedział się, że w życiu Marie nie ma żadnego mężczyzny. Tu zawahał się. Bo przecież on jest w jej życiu, czyż nie?
– To Marie nie ma chłopca? – spytał podstępnie.
– Coś ty! – Jeremy wybuchnął śmiechem. – Ona nie jest taka jak Gina.
To prawda, pomyślał Davis. Choć, jeśli o niego chodziło, bardzo go ta różnica cieszyła. Postanowił jeszcze pociągnąć malca za język.
– Co masz na myśli?
– Marie zajmuje się poważnymi sprawami. Łowieniem ryb albo baseballlem. Na randki nie ma czasu.
To była najszczerza prawda. Nigdy przedtem Davis nie musiał natrudzić się tak bardzo, by spotkać się z dziewczyną.
– Czy ty będziesz jej chłopakiem? – spytał niespodziewanie Jeremy.
Davis popatrzył nań uważnie. Chłopiec przyglądał się mu ostrożnie. Czekał na odpowiedź.
– Sądzisz, że mógłbym?
– Tak. Mógłbyś nauczyć mnie naprawdę dobrze uderzać. I myślę, że Marie chyba cię lubi.
– Tak uważasz? – bąknął Davis, zdumiony. – Dlaczego?
– Bo zachowuje się strasznie śmiesznie, kiedy jesteś przy niej. Przestaje

oddychać.

Znów wróciły doń wspomnienia poprzedniego wieczora. Przypomniawszy sobie gwałtowne bicie serca Marie i to, jak szybko oddychała. A więc oboje mają podobne trudności.

– Dlatego myślę, że powinieneś zostać jej chłopakiem – powtórzył Jeremy.

Davis uśmiechnął się do chłopca.

– Zrobię, co tylko będę mógł – powiedział. Z całego serca pragnął dotrzymać tej obietnicy. Naprawdę nie miał nic przeciwko temu, by zostać chłopakiem Marie. Choćby na jakiś czas.

Dzieciaki.

Miliony wrzeszczących, śmiejących się, piszczących i skaczących z podniecenia dzieciaków. Alejka wiodąca przez wioskę do chaty Mikołaja zapchana była nimi po brzegi. Kolejka czekających na widzenie ze Świętym wiła się jak gigantyczny wąż. Davis niecierpliwie przestępował z nogi na nogę. Mocno trzymał Jeremy'ego za rękę, by malec nie wspinał się na ozdobny płot oddzielający ich od gór sztucznego śniegu. Zastanawiał się ponuro, jakim cudem zgodził się wziąć udział w tym szaleństwie.

Cały świat wokół oszalał. Dzieci dookoła wariowały z emocji. Z gigantycznych głośników płynęły kolędy. A przecież i Davis czerpał z tego jakąś bliżej nie określoną przyjemność.

Wreszcie doczekali się. Przebrana za elfa dziewczyna zaprowadziła Jeremy'ego do tronu i chłopiec usiadł Mikołajowi na kolanach. Rozmawiali przez chwilę, inny elf zrobił im fotografię i z uśmiechem zwrócił się do Davisa:

– Życzy pan sobie zdjęcie synka z Mikołajem? – Przyjrzała się Davisowi badawczo. – Tylko cztery dolary.

– To nie jest... – Davis zamilkł w pół zdania. W końcu elfowi było absolutnie obojętne, kim jest on i Jeremy. Poza tym, z dziwnego i niewiadomego powodu, Davis zapragnął naprawdę stać się częścią otaczającego go szaleństwa.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się szczęśliwy, że może uczestniczyć w radości innych. Popatrzył na Jeremy'ego, który wyjawiał Mikołajowi swoje sekretne marzenia. Życzył mu gorąco, by nigdy nie zaznał goryczy rozczarowania. Żeby do końca swoich dni umiał czuć tę tajemniczą magię. A także by zawsze miał na buzi ten wyraz bezgranicznego szczęścia.

– Proszę pana? – ponaglił elf. – Co ze zdjęciem?

– Tak – powiedział, nie odrywając oczu od chłopca. – Wezmę je. – Sięgnął po portfel, by kupić mały okruszek Bożego Narodzenia.

Marie pospiesznie przeciskała się przez tłum objuczonych sprawunkami ludzi. Naprawa samochodu zabrała jej więcej czasu, niż przypuszczała. Potem musiała jeszcze wpaść do domu, żeby się przebrać. Nawet ona nie chciała pokazywać się w centrum handlowym wymazana olejem i smarami.

Gorączkowo lawirowała w tłumie. Przycisnęła dłoń do bezowego

sweterka na wysokości żołądka. Trema? Czemu nie, zdarza się. Ale żeby aż taka?

Znalazła się przed chatą Mikołaja i rozglądała się nerwowo. Nie było ich. Ruszyła wokół placu, zaglądając do sklepików i straganów. Znalazła ich w kawiarence, po drugiej stronie.

Bicie serca wzmogło się jeszcze. W ustach jej zaschło. Nawet z tak dużej odległości Davis wyprowadzał ją z równowagi. Wciąż nie mogła pojąć, jak to się stało, że w czasie krótszym niż tydzień tak związała się z tym człowiekiem. Już wiele lat minęło, odkąd po raz ostatni zdarzyło się jej nie sypiać po nocach i pogrążyć się w marzeniach. Przerażało to ją coraz bardziej.

Być może dlatego, że nadal nie wiedziała, do jakiego stopnia on się nią interesuje.

– Cześć – powiedziała i przysiadła obok Jeremy'ego. Poczowała na sobie spojrzenie Davisa i zrobiło się jej gorąco.

– Już rozmawiałem ze Świętym Mikołajem – doniósł Jeremy. – Davis kupił dla mnie fotografię. Możesz zobaczyć.

– Podał ciotce zdjęcie. – Ale nie pokazuj jej nikomu oprócz mamy i babci, dobrze? – dodał szeptem.

– Dobrze – odparła. Spojrzała na zdjęcie, lecz już po chwili znowu patrzyła na Davisa. – Dziękuję. Dziękuję, że przywiozłeś go tutaj. I za fotografię.

– Nie ma za co – odparł Davis. – Skończyłaś naprawiać samochód? Świetnie, pomyślała. To bezpieczny temat.

– O, tak! Ale auto jest już strasznie zniszczone. Nie wiem, czy długo jeszcze pojeździ.

– Czemu Laura nie kupi sobie nowego samochodu? – wtrącił Jeremy.

– Nie może sobie na to pozwolić, kochanie – wyjaśniła Marie.

– To może Mikołaj mógłby jej przynieść?

– Może. – Tyle że Święty Mikołaj zwykle nie bierze sobie do serca życzeń i pragnień dorosłych. Może uważa, że dorośli potrafią sami urzeczywistniać swoje marzenia. A skoro już o marzeniach mowa...

Marie nie spuszczała oczu z Davisa. Całą ubiegłą noc spędziła na rozpamiętywaniu pocałunku. I na nieustannym tłumaczeniu sobie, że nie powinna traktować go aż tak poważnie. To, że tamten pocałunek na niej zrobił tak piorunujące wrażenie, nie oznaczało, że równie mocno podziałał na Davisa.

Teraz jednak, gdy spoglądała w jego niebieskie oczy, była niemal pewna, że on także doskonale zapamiętał tamtych kilka chwil.

– Może odwieziemy teraz Jeremy'ego do domu i pojedziemy na wczesną kolację? – spytał niespodziewanie.

Kolacja. Marie zastanawiała się przez kilka długich sekund. I postanowiła, że owszem, pojedzie z nim. Jeżeli spędzą razem trochę czasu, będzie mógł przekonać się, że na pewno nie jest w jego typie, i da jej spokój. Zanim będzie za późno. Poza tym po prostu chciała spędzić z nim jeszcze parę

chwil. Być może po raz ostatni. I pragnęła, by pocałował ją znowu. Chciała znów poczuć ten galop serca. Obejmujące ją ramiona. Choć raz w życiu chciała zaznać tego, jak to jest być pożądaną przez mężczyznę. Przez tego konkretnego mężczyznę. Ale musiała się spieszyć, nim Davis odzyska zdrowy rozsądek.

– Czemu nie – odparła. Miała nadzieję, że nie dostrzegł drżenia jej głosu.

– Hej! – krzyknął Jeremy. – Ja też jestem głodny. Davis zrobił kwaśną minę. W niemym pytaniu uniósł jedną brew.

Marie odpowiedziała mu, zwracając się do siostrzeńca:

– Nie dzisiaj, mały. To jest wieczór dla dorosłych.

– Boże, dziewczyno – wykrzyknęła Gina – czy ty nigdy nie używasz odżywki do włosów?!

– Oczywiście, używam – odparła Marie z oburzeniem. – Oj! – krzyknęła, gdy siostra przeciągnęła szczotką po jej włosach.

Spojrzała w lustro, na odbicie Giny. Potem na pozostałe dwie kobiety zgromadzone w jej sypialni.

Jej sypialnia, jej sanktuarium, wyglądała jak po wybuchu bomby. Na łóżku leżał wielki stos sukienek. Każdą z nich Marie zdążyła już przymierzyć i zdjąć. Buty, pończochy i niewiarygodne ilości kosmetyków pokrywały każde wolne miejsce.

Jeremy został zamknięty w domu sam z gramami telewizyjnymi. A w domu Marie odbywało się jej przepoczwarczanie w – biedaczka spojrzała na swoje odbicie i westchnęła rozpaczliwie – zbyt kolorowego motyla.

Gina znów przeciągnęła szczotką po włosach Marie. Torturowana nieszczęśnica chwyciła ją za rękę.

– Może zostawiłabyś mi choć kilka włosów, co?

– Tylko wtedy, jeśli będą lśniące i puszyste – odparła Gina.

– Trzeba trochę pocierpieć, żeby być piękną – powiedziała mama siedząca na brzegu łóżka.

– Kto wymyślił tę zasadę? – warknęła Marie. – Mężczyźni?

– Prawdopodobnie. – Angela strzepnęła gwałtownie dłoń Marie z krawędzi głęboko wyciętego dekoltu pożyczonej czerwonej sukienki. – Przestań ciągnąć tak ten materiał. Pomarszczysz go tylko. Dekoltu wyżej podciągnąć się nie da.

– Piersi mi się w nim nie mieszczą – zawołała Marie z rozpaczą. Nigdy dotąd nie miała na sobie tak głęboko wyciętej sukienki. Była przekonana, że przypląci ten wieczór zapaleniem płuc. Jak mogła pozwolić ubrać się w coś takiego? Jak? Po prostu! Tego wieczora pragnęła być wyjątkowa. Chciała być księżniczką, królową balu i Miss Ameryki w jednej osobie.

– Twoje piersi pozostaną częściowo okryte – oświadczyła Gina z uśmiechem. – Ale jeśli dopisze ci szczęście, łatwo będzie je uwolnić.

– Gino! – Głos mamy zabrzmiał groźnie, ale siostry wiedziały, że ona już dawno przestała panować nad najmłodszą córką.

– Jeśli wcześniej nie zamarzną i nie pokruszą się – szepnęła Marie.

Angela sięgnęła po szminkę i mały pędzelek. Obróciła ku sobie twarz Marie i powiedziała:

– Bóg jeden wie, jak niechętnie zgadzam się z Giną w czymkolwiek, ale, szczerze mówiąc, Marie, czas już najwyższy, żebyś pozwoliła sobie na jakąś ekstrawagancję.

– Amen – zakończyła Gina.

Marie skrzywiła się i spróbowała odwrócić głowę, ale palce Angeli mocno ścisnęły jej policzki.

– Jesteś bardzo ładną dziewczyną – zauważyła mama. – Powinnaś jak najczęściej eksponować swoją urodę.

– Nakładając na siebie tyle farby, że nikt nie zdoła mnie rozpoznać? – rzuciła Marie z przekąsem. Kątem oka spojrzała w lustro. Hm! Całkiem niezły efekt!

– Chodzi o wydobycie twego wewnętrznego piękna – powiedziała Gina.

Wewnętrzne piękno? Akurat to interesuje mężczyzn najbardziej!

Angela skończyła malowanie ust Marie. Z uwagą przyglądała się swemu dziełu.

– Dobrze – mruknęła do siebie i sięgnęła po flakonik drogich perfum, które przyniosła ze sobą. Wtarła odrobinę drogocennego płynu za uszami Marie i podała jej korek. – Przyłóż go między piersiami – rozkazała.

Marie ostrożnie ujęła w palce zimny kryształ.

– Nie wystarczy, że pokazuję je całemu światu? Muszą jeszcze pachnieć?

– O Boże! – jęknęła Gina. – Wszystko to strata czasu, wiesz?

– Wystarczy, Gino – pohamowała zapędy córki mama.

– Oj, doprawdy... – Najmłodsza z Santinich skończyła układanie fryzury siostry. – Przecież, do diabła, ona jest Włoszką. Gorąckrwistą, jak my wszystkie.

To prawda, pomyślała Marie, Jej krew bliska była wrzenia i wciąż jeszcze się rozgrzewała.

– Być Włoszką nie oznacza być erotomanką – stwierdziła Angela.

– Zapomniał wół, jak cielęciami był – warknęła Gina.

– Dosyć! – Mama klasnęła w dłoń. – Wystarczy. Marie będzie, jaka jest i... – Napotkała w lustrze spojrzenie średniej córki. – To i tak aż za dużo jak dla mężczyzny.

– Dziękuję, mamó – szepnęła Marie.

– Ale to nie oznacza – starsza pani dla podkreślenia swoich słów uniosła dłoń – że odrobina reklamy może ci zaszkodzić. Zrób z tymi perfumami to, co ci powiedziała siostra. A co do ciebie, Gino, naprawdę nie chcę już słuchać o twojej gorącej krwi, rozumiesz?

– Żadna z nas nie chce – wtrąciła się Angela.

– Zazdrośnice – mruknęła Gina. – Obie jesteście zazdrosne.

Marie posłusznie przyłożyła korek między piersi. Zimny kryształ sprawił,

że zadrżała. Oddała perfumy siostrze i po raz ostatni przejrzała się w lustrze.

Niby zobaczyła swoje odbicie, ale jakże zmienione.

– Nieźle, co? – mruknięła Gina z podziwem.

– Nieźle, to za mało – zaprotestowała Angela. – Ona jest cudowna.

– Zawsze taka była – przyznała mama.

Marie długo przyglądała się sobie. Westchnęła głęboko.

Jej piersi uniosły się tak wysoko, że natychmiast zrozumiała, iż nie powinna robić tego więcej. Wstała.

– Dobrze. Chyba jestem gotowa. Jak nigdy przedtem.

– Poczekaj, aż Davis cię zobaczy – powiedziała Gina z uśmiechem.

– Oczy wyjdą mu z orbit, kochanie – dodała Angela. Niespodziewanie Marie poczuła łzy pod powiekami. Po raz pierwszy w życiu wraz z mamą i siostrami zajmowała się makijażem, fatałaszkami i w ogóle babskimi sprawami. Było to niezwykle dziwne i... przyjemne.

– Tylko nie wąż się beczeć, bo zniszczysz makijaż – ostrzegła ją Gina.

Marie roześmiała się. Może rzeczywiście to one miały rację? Może była już pora wyskoczyć z kombinezonu i spojrzeć na świat oczami kobiety?

Rozległo się stukanie do drzwi.

I może nie jest jeszcze za późno, pomyślała, żeby odwołać wszystko.

– Przyjechał – oznajmiła Gina. Zupełnie niepotrzebnie.

– O Boże! – szepnęła Marie.

– Wyglądasz wspaniale, kochanie – dodała jej otuchy mama. Podeszła i uścisnęła ją mocno. – Nie martw się niczym. Po prostu bądź sobą.

Marie świetnie wiedziała, że to była dobra rada. Lecz jak mogła być sobą, gdy nawet wyglądała inaczej? Nic z tego. Tego wieczora musiała być kimś innym. Kimś tak ognistym jak Gina. Tak pięknym jak Angela. I tak pewnym siebie jak mama.

Tego wieczoru będzie najwspanialszą z kobiet z rodu Santinich. O tym przecież zawsze skrycie marzyła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Davis raz jeszcze, niecierpliwie, zastukał w drzwi. Nie mógł wyzbyć się obaw, że Marie znów zmieniła zdanie. Może w ogóle nie zechce wyjść ze mną? pomyślał. Albo zabierze ze sobą którąś z sióstr? Albo matkę? Albo Jeremy'ego?

Nigdy przedtem nie spotykał się z dziewczyną aż tak związaną z rodziną. A do tego wciąż nie miał pewności, czy Marie choć trochę go lubi.

Wysoko nad głową miał czyste, zimowe niebo, migocące miriadami gwiazd. Wszechobecny wiatr od oceanu spowijał go chłodnym oddechem. Davis wcisnął ręce w kieszenie spodni i zaczął żałować, że nie włożył czegoś cieplejszego.

W tym momencie drzwi się otworzyły i wszystkie myśli pierzchły z jego głowy. Oprócz jednej.

Jest piękna! Marie Santini jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał. W świetle lampy jej włosy lśniły wokół głowy jak aureola. Po raz pierwszy zobaczył ją umalowaną, jednakże makijaż jedynie podkreślał naturalne piękno jej oczu i powab ust. Poczł delikatny, kwiatowy zapach. Przyglądał się Marie, a jego serce biło coraz szybciej. Głęboko wycięty dekolt ukazywał rozkoszne piersi. Długie, czerwone rękawy podkreślały kształt ramion. Spod króciutkiej sukienki wystawała para najwspanialszych nóg.

Pomału podniósł wzrok i spojrzał w zielone oczy. Potrząsnął głową.

– Pani, wyglądasz wspaniale. Marie odwzajemniła uśmiech.

– Dziękuję. Dzisiaj czuję się wspaniale.

Davis był szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy, że nabrał pewności, iż coś na pewno pójdzie źle.

– Jesteś gotowa? – Wyciągnął do Marie rękę.

– Jak zawsze – odparła. Wzięła płaszcz, wyszła na ganek i zamknęła za sobą drzwi.

Pachniała tak oszałamiająco, że Davis z trudem zdołał się powstrzymać, by nie chwycić jej w ramiona. Zapragnął znów poczuć smak jej ust. Ale musieli się spieszyć, gdyż czekał na nich zarezerwowany stół. A przecież, tak naprawdę, Davis miał apetyt tylko na Marie Santini.

Każdy stół ozdobiony był malutkim bukietem. W kącie restauracji, na wielkim kominku, płonął ogień. Wnętrze wypełniało delikatne pobrzękiwanie szkła i szmer przyciszonych głosów. Jednak Davis i tak nie dostrzegał niczego. Marie przesłoniła mu cały świat. Niestety, kelnerowi także.

Właśnie zjawił się przy ich stoliku z deserem. Ani na moment nie odrywał od Marie zachwyconego spojrzenia. W rezultacie wielki kawałek szarlotki omal nie wylądował prosto na kolanach Davisa.

– Uwważaj! – Davis w ostatniej chwili chwycił talerzyk. Kelner popatrzył nań krzywo.

– Przepraszam – burknął. – Życzy pani sobie jeszcze kawy? – zwrócił się do Marie.

Davis zagryzł wargi. Przywykł do tego, że inni mężczyźni oglądali się za jego dziewczynami. Tym razem poczuł jednak coś nowego. Zazdrość? pomyślał, zdziwiony. Do diabła! Nigdy przedtem nie zaznał tego uczucia. Tyle razy śmiał się z kolegów, którzy zachowywali się jak zazdrońcy. Ale, do cholery, to nic zabawnego, gdy jakiś obcy facet obmacuje wzrokiem Marie!

– Kawy? – powtórzył kelner słodziutko. W tym momencie Davis uznał, że czas już najwyższy, by opuścić lokal.

– Nie, dziękuję. – Marie pokręciła głową.

– Cieszę się, że zrezygnowałaś z kawy – powiedział Davis, gdy kelner się oddalił. – W przeciwnym bowiem razie groziły mi poparzenia trzeciego stopnia w okolicach, które wolałbym zachować bez uszczerbku.

Marie z trudem powstrzymała chichot.

– Uważam, że kelner jest bardzo miłutki.

– Łatwo ci mówić. – Rzucił ponure spojrzenie za oddalającym się mężczyzną. – Nie upuścił ci sałaty na kolana.

– Dobrze, że była bez sosu – zauważyła ze śmiechem Marie.

To prawda. W końcu zamiast suchej sałaty mógł zeskrobywać ze spodni twarożek.

– Otrząsałaś się już po przejściach z kelnerem? – spytała. Oparła ręce na lnianym obrusie i pochyliła się, jeszcze bardziej uwydatniając piersi, których Davis usilnie starał się nie dostrzegać przez cały wieczór.

Otrząsałem się? pomyślał. Do diabła! Mam się coraz gorzej.

– Póki nie przyniesie płonącego deseru, będę żył.

Marie znowu wybuchnęła śmiechem, sprawiając mu tym wyjątkową przyjemność.

– Było naprawdę cudownie, Davisie – powiedziała. – Dziękuję, że zabrałeś mnie tutaj.

– Starałem się zrobić to od początku naszej znajomości – przypomniał.

– Warto było czekać? – spytała kokieteryjnie.

– Zdecydowanie tak! – Davis energicznie kiwnął głową.

– To dobrze. – Marie nabrała na łyżeczkę odrobinę lodów i uniosła ją do ust. Westchnęła cicho, gdy wspinała słodycz rozpułyła się na jej języku.

Davis poruszył się niespokojnie na krześle. Z wdzięcznością pomyślał o właścicielach restauracji, którzy zainstalowali tutaj tak słabe światło. Gdyby było inaczej, musiałby przy wyjściu skrupulatnie pozapinać marynarkę.

– Od jak dawna jesteś komandosem?

– Hm... – Potrząsnął głową. – Słucham?

– Spytałam, od jak dawna jesteś komandosem? – Marie uśmiechnęła się.

– Ach. – Uważaj, skarcił się w myślach. – Od zawsze.

– Tak długo? Nieźle się trzymasz, jak na taki sędziwy wiek.

– Dzięki – bąknął z roztargnieniem. Myśli miał bowiem pełne zupełnie

szalonych obrazów.

Marie oblizwała łyżeczkę. Powolne ruchy jej języka sprawiły, że serce Davida zaczęło bić w piersi jak oszalałe.

– A naprawdę od jak dawna?

– Prawie od piętnastu lat – wykrztusił.

– Zostaniesz w wojsku na zawsze? – Marie nabrała na łyżeczkę kolejną porcję smakołyku.

– Tak – odparł. Zmusił się, by oderwać od niej oczy. – Podpiszę chyba kontrakt bezterminowy.

– Naprawdę? Nie ma nic innego, co chciałbyś robić?

Z zakamarków wspomnień wróciło do Davisa marzenie o własnym zakładzie, zajmującym się renowacją starych samochodów. W różnych miejscach kraju stało kilka aut, które zawdzięczały mu drugi żywot. Gdy tylko przynoszono go w nowe miejsce, kupował jakiegoś gruchota i remontował go. Wmawiał sobie, że to jest jego hobby. Ale prawda była taka, że w ten sposób zabijał nudę. Mężczyzna pozbawiony domu i rodziny ma zbyt dużo wolnego czasu.

Nikom dotąd nie opowiadał o tych swoich dawnych marzeniach. Aż do tego wieczoru. Kiedy skończył, Marie spytała:

– Czemu nie zrealizujesz swoich planów? Przecież mógłbyś otworzyć taki warsztat.

– Nie ma mowy. – Davis potrząsnął głową. – Nie wiem, czy umiałbym wytrwać w jednym miejscu tak długo.

– Zabawne – stwierdziła Marie. – Ja nie wiem, czy potrafiłabym przeprowadzać się tak często jak ty. – Powoli pokręciła głową. – Co kilka lat nowy dom? I żadnego stałego adresu?

– Lubisz swoją grzędę, kokoszko? – zauważył żartem.

– Za to ty Jesteś jak wędrowny ptak.

– Chyba niewiele mamy ze sobą wspólnego, prawda?

– Tak i mnie się wydaje – przyznała cicho.

Davis wyciągnął rękę ponad stołem i nakrył dłonią jej dłoń. W mgnieniu oka poczuł żar spływający wzdłuż swojego ramienia.

– Nigdy nie chciałaś wyrwać się stąd? – spytał. – Dokądkolwiek?

– Wyrwać się?

– Tak. Pojechać tam, gdzie nikt by cię nie znał?

– Nie. Po co? – Pokręciła głową.

Davis zmarszczył czoło. Splótł palce z jej palcami.

– Żeby być całkowicie niezależną. Móc robić, co tylko zechcesz.

Marie uśmiechnęła się, lecz w oczach miała zdumienie.

– Ale ja robię, co chcę – powiedziała.

– Naprawdę? Znam cię już kilka dni. Ale nie widziałem cię jeszcze bez Jeremy’ego albo Giny, albo mamy.

– Przecież to moja rodzina – odparła.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi. A on wiedział, że nie może tego od niej oczekiwać. Nie dorastała przenoszona z miejsca na miejsce. Nie musiała już w dzieciństwie nauczyć się, że „szybciej podróżuje, kto sam podróżuje”. Nie. Nie mogła docenić pożytków płynących z nieistnienia kogokolwiek, kto mógłby rościć sobie pretensje do twojego czasu. Do twojego życia.

– Ruchome piaski – mruknął.

– Co?

Westchnął głęboko. Marie delikatnie głaskała kciukiem wierzch jego dłoni.

– Rodzina – powiedział prędko – jest jak ruchome piaski. Wystarczy, że zbliżysz się za bardzo, a wciągnie cię i pogrzebie. Zamknie w potrzasku. I już nigdy nie będziesz na tyle wolna, żeby zostać, kim tylko zechcesz.

Marie przyglądała się mu uważnie. Próbowwała wyczytać z jego twarzy grające w jego duszy uczucia. On jednak miał chyba za sobą zbyt wiele lat nauki skrywania myśli. Nie umiała pojąć jego poglądów na temat rodziny. Wydało się jej jednak, że jego życie musiało być bardzo samotne.

Przemknęły jej przed oczyma obrazy z własnego życia. Pomyślała, że bez rodziny byłoby ono niezwykle puste.

– Dla mnie rodzina była zawsze jak łódź ratunkowa – powiedziała cicho.

– Co masz na myśli?

– No, wiesz... – Wciąż gładziła jego dłoń. – Coś w rodzaju gniazda. Gdzie każdy z nas jest po to, by drugiemu ruszyć z pomocą. By podtrzymywać go na duchu, kiedy popadnie w tarapaty, i żeby śmiać się wspólnie, gdy wszystko idzie dobrze. Mama mówi, że dom to takie miejsce, do którego możesz przyjść i zawsze zostaniesz wpuszczony.

Davis milczał.

– Gdzie jest twoje gniazdo, Davisie? – spytała szybko. Ścisnęła jej dłoń i uwolnił. Potem sięgnął po skórzane etui, w którym przyniesiono im rachunek. Posłał jej uśmiech, który nie zdołał ukryć mroku w jego oczach.

– Teraz w bazie Pendleton – powiedział.

Rzucił okiem na rachunek i sięgnął do portfela po pieniądze.

– Wspominałeś, że nie masz rodziny. Ale przecież musi istnieć ktoś ci bliski?

– Armia – mruknął. Musiał zauważyć współczucie w jej spojrzeniu, bo dodał: – Nie użalaj się nade mną. Ruchome piaski. Pamiętasz? – Uśmiechnął się blade.

– Tak – odparła. – Pamiętam.

Marie nie mogła pozbyć się przekonania, że Davis myślałby inaczej, gdyby miał oparcie w rodzinie. Obserwowała, jak cierpliwie i serdecznie odnosił się do Jeremy'ego. Z jaką życzliwością traktował jej siostry i mamę. Była pewna, że Davis Garvey nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo tęskni za domem rodzinnym. Człowiek, który tyle czasu przeżył w samotności, musiał uwierzyć, że żyć można tylko w ten sposób.

Zrobiło się jej żal mężczyzny, który ma tak wielkie serce i nikogo, komu mógłby je dać.

Davis został, by uregulować rachunek, a Marie wyszła na ciągnący się wzdłuż restauracji drewniany krużganek. Chłodny, oceaniczny wiatr tarosił jej sukienkę i owijał wokół ud. W nozdrzach czuła słony zapach morskiej wody.

– Zmarzniesz – usłyszała za plecami głos Davisa. Wystraszyła się. Obróciła głowę i spojrzała wprost w jego oczy. Poczwała, jakby nagle opasała ją żelazna obręcz. Z trudem łapała oddech.

Davis objął ją i przytulił. Przycisnęła się do niego plecami. Stali tak, patrząc na odległe światła portu. Na luksusowe rezydencje po drugiej stronie zatoki, bogato udekorowane świątecznymi lampkami. Ich zwielokrotnione odbicia migotały na czarnej powierzchni wody, jakby rozgwieżdżone niebo spadło im do stóp.

Skądś, z bardzo daleka, dolatywały stłumione tony kolędy. Marie poczuła ucisk w gardle. Było tak pięknie.

Davis przytulił ją jeszcze mocniej. Zadrżała.

– Już zmarzłaś – szepnął prosto do jej ucha. Zmarzła? Niemożliwe. Czuła, że całe jej ciało płonie.

– Nie – odparła i pokręciła głową. – Nie jest mi zimno. Ja...

– Co? – Davis odwrócił ją twarzą ku sobie. Przyciągnął jeszcze bliżej.

Uniosła głowę i napotkała spojrzenie niebieskich oczu, w których kryło się tyle tajemnic i tyle ciepła.

Czy to możliwe, że zna go dopiero od kilku dni? W tej chwili miała wrażenie, że ich znajomość trwa całe wieki. Że zawsze czekała właśnie na niego. Nie miało znaczenia, że on lada dzień może odejść. Tej nocy to się nie liczyło. Należał do niej. A ona zapragnęła należeć do niego.

– Marie? – Pogłaskał ją po policzku.

Z trudem przełknęła ślinę. Zacisnęła mocno powieki.

– Pocałuj mnie – poprosiła.

– Z rozkoszą – szepnął i pochylił głowę.

Łagodnie musnął ustami jej wargi. Całował ją delikatnie i czule. Wiatr wzięł ich w chłodne objęcia.

Serce Marie zaczęło bić w piersi jak oszalałe. Żołądek skurczył się do wielkości orzeszka, a kolana zmiękły jak wosk. Wsparła się na Davisie, ufając, że da jej oparcie w wirującym szaleńczo świecie. Pragnęła, by ten pocałunek nie skończył się nigdy. By trwał wiecznie. Kiedy Davis uniosł głowę, spojrzała mu głęboko w oczy.

– Jedźmy do domu – poprosiła.

Wiedziała, że usłyszał pragnienie rozbrzmiewające w jej głosie. Spostrzegła płomień, który zalsnił w jego oczach.

– Jesteś pewna? – spytał.

Głęboko nabrała powietrza w płuca. Już zawsze zapach wody po goleniu

„Old Spice” będzie przypominał jej ten moment. Drżała z pożądania.

Czy była pewna? Wielkie nieba! Jeśli Davis natychmiast nie zabierze jej do domu, nowa, odmieniona Marie sama powali go na deski tarasu.

W ustach jej zaschło. Serce dudniło głucho w piersi. Chwyliła Davisa za klapy płaszcza i przyciągnęła gwałtownie do siebie. Uniosła głowę i ochryłym głosem wyznała:

– Uwierz mi, Davisie. Jestem tego całkowicie pewna.

– Ja też. – Westchnął ciężko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

No, dobrze. Była pewna.

Na krużganku. W czasie pośpiesznego marszu do samochodu. W drodze do domu. Lecz gdy umilkł silnik, gdy zrobiło się cicho, opadły ją wątpliwości.

Co ja robię, pomyślała. Zupełnie postradałam zmysły?

Davis zatrzymał samochód na podjeździe. Marie rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę domu mamy. Poczwała skrępowanie. Postępuje jak zwariowana nastolatka przemykająca się ukradkiem ze swoim chłopcem. Przecież jest już dorosła. Ma dwadzieścia sześć lat. To ostatni dzwonek, by rozstać się z dziewictwem.

Zduśiła nerwowy śmiech. W końcu nie było powodu do zdenerwowania.

– Marie? – Davis dostrzegł niepokój w jej oczach. – Wszystko w porządku?

– Tak – mruknęła, szukając po omacku klamki. – Wspaniale. – Wsiadła z samochodu i ruszyła ku schodom. Zdało się jej, że w stukaniu obcasików o kamienne płyty słyszy tajemniczy głos. Początkowo mówił: „zrób to, zrób to”. A potem: „przestań, przestań”.

Boże! Kompletnie traciła zmysły!

Właśnie wtedy, kiedy potrzebny jej był umysł jasny i klarowny, miała w głowie dziką mieszaninę żądy, strachu i wyrzutów sumienia. A przecież nie było powodów do wstydu.

Otarła czoło i zaczęła wspinać się po schodach. Tuż za sobą słyszała kroki Davisa. Nie uspokajało to jej ani trochę.

Stała przed drzwiami. Odnalazła w torebce klucz, wsunęła go do zamka i obróciła. Jednak nim weszła do środka, poczuła na ramieniu dłoń Davisa.

– Wiesz – powiedział miękko. – Nie bardzo wiem, co się z tobą dzieje, ale...

– To nic – odparła pozornie niedbałym tonem. Z trudem walczyła ze zdenerwowaniem. Skoro zaszła już tak daleko, nie mogła się przecież wycofać, prawda?

– Chyba jednak nie – zauważył. Położył jej rękę na ramionach. – Nie musimy tego robić, Marie. Jeśli się rozmyśliłaś... – Davis zdobył się na wymuszony uśmiech – wskakuję do samochodu i zmywam się do bazy.

Marie jęknęła cichutko i oparła czoło o jego pierś. Serce biło mu równie szybko jak i jej. Gdyby Davis odjechał, obojgu przyniosłoby to ulgę. Lecz przecież pragnęła tego tak bardzo. Czemu więc nagle ogarnęły ją wątpliwości?

Uniosła głowę.

– Davisie – wyszeptała – sama już nie wiem, czego chcę. Uśmiech przemknął po jego wargach. Wzruszył ramionami.

– W takim razie zaczekajmy – zaproponował.

– Ale ja nie...

– Ciii. – Położył jej palec na ustach. – Wszystko w porządku.

– Nie. Nieprawda. – Cofnęła się o krok. Wściekła na samą siebie wrzuciła przez uchylone drzwi torebkę do mieszkania. Davis uśmiechał się. – Co cię wprawiło w tak dobry humor?

– To. – Wskazał małą gałązkę przyczepioną do framugi, ozdobioną wąską, czerwoną kokardką.

Marie zrozumiała, że to sprawka Giny. Sama nie wiedziała, czy w tym momencie ma chęć rozerwać siostrę na strzępy, czy jej podziękować.

– Jemioła – zauważył Davis i podszedł bliżej.

– Cóż z tego? – bąknęła.

– Chyba powinniśmy się pocałować, nim odjadę – powiedział. – Nie wolno lekceważyć starych obyczajów. Kto wie, co się może zdarzyć?

– Można stracić okazję. – Marie energicznie pokiwała głową.

– Właśnie – szepnął Davis i zamknął ją w objęciach.

Ich usta zetknęły się i znów wszystko stało się jasne. Kiedy całowali się na krużganku restauracji, Marie czuła, że to właśnie jest ta właściwa noc. I tylko zbyt długa jazda do domu sprawiła, że opadły ją wątpliwości.

Powinna wiedzieć, że nie jest to czas na rozmyślenia. Nadszedł czas uczuć. Doznań. Chwytań w garście, co podsuwa los.

Czuła rosnącą falę pożądania, która ogarniała ją jak nieubłagany przypływ. I kiedy Davis przerwał pocałunek, Marie wiedziała, że już go nie wypuści.

Zarzuciła mu ręce na szyję i poprosiła łamiącym się głosem:

– Kochaj się ze mną, Davisie. Teraz.

– Marie... – powiedział niezdecydowanie, jakby oczekiwał, że ona pomoże mu zmienić zdanie.

– Zróbmy to. – Dotknęła jego policzka.

Davis obrócił głowę i pocałował wewnątrz jej dłoni. Marie zadrżała i westchnęła cicho.

– Pragnę cię – szepnął.

– I ja ciebie pragnę. Teraz, Davisie. Na litość boską! Teraz, proszę!

Spojrzał w jej oczy i zrozumiał, że nie kłamie. Wszedł przez próg i kopnięciem zatrzasnął drzwi. Zamknięta w jego silnych ramionach, Marie rozwiązała mu krawat i odpięła dwa górne guziki koszuli. Davis przeszedł przez salon i wolno postawił ją na podłodze koło kanapy. Zdjął płaszcz. Ona też. Patrzyli sobie prosto w oczy. W bladym świetle stojącej w kącie lampy przyglądali się sobie, gwałtownie pozbywając się ubrań.

Marie sięgnęła za plecy w poszukiwaniu suwaka pożyczonej sukienki. Jęknęła głucho, gdy ten zaciał się zdradziecko. Davis podszedł bliżej. Obrócił ją i pomalutku rozsunał zamek.

– Och! – jęknęła Marie, gdy jego palce przesunęły się w dół jej pleców. Obrócił ją twarzą do siebie. A ona przywarła do jego obnażonej piersi. Głaskała muskularne barki i ramiona i tuliła się doń zachłannie. Czuła, że on pożąda jej z

całej siły.

– Davisie – wyszeptała. Uniosła głowę, by spojrzeć mu w twarz. – Pragnę... – Jak miała prosić o cokolwiek, gdy zupełnie nie wiedziała, czego chce?

– I ja ciebie pragnę, kochanie – powiedział. Pocałował jej brodę. Potem szyję. Sunął wargami w dół, aż do piersi. – Jesteś pewna? – spytał miękko.

– Tak. – Nigdy w życiu nie była niczego tak pewna.

Skinął głową i powrócił do przerwanej zajęcia.

– Przez cały wieczór myślałem o twoich piersiach – wyszeptał. Ciepło jego oddechu rozpalało jej skórę.

– Naprawdę? – Westchnęła, gdy wprawnym ruchem rozpiął jej staniczek i rzucił go na podłogę. Zanim w ogóle zdążyła pomyśleć o tym, by się zawstydzić, Davis położył ją na kanapie, nakrył piersi dłońmi i zaczął całować naprężone sutki. Raz jedną, raz drugą.

– Och! – szepnęła. W ustach jej zaschło. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit. A wargi i zęby Davisa wyczyniały z jej ciałem rzeczy niewiarygodne. I kiedy wydało się jej, że lada moment umrze z rozkoszy, usta Davisa przesunęły się na drugą pierś.

– Najdroższy – szepnęła. Objęła jego głowę i przycisnęła ją do siebie z całej siły. Byle tylko nie przerwał tych pieścizot, od których cały świat zaczął wirować opętańczo.

Marie pojękiwała cichutko. Davis ssał jedną sutkę, drugą ścisnął i drażnił palcami. Nigdy dotąd nie zaznała tak niezwykłych przeżyć.

On tymczasem przestał zajmować się piersiami. Poczula jego gorące pocałunki wędrujące w dół jej ciała. Coraz niżej i niżej.

– Czy myślisz, że...? – Na wpół leżąc, wielkimi jak spodki oczami patrzyła, jak Davis zsuwa z niej czarne majteczki. Po chwili wylądowały na podłodze obok staniczka.

Mimo podniecenia poczuła skrępowanie, gdy uświadomiła sobie, że leży rozciągnięta na kanapie, ubrana tylko w czarne pończochy. Wtedy napotkała jego spojrzenie. Było tak pełne ognia, że krew w jej żyłach zawrzała, a żar ogarnął całe ciało.

W tym momencie Davis schylił się, zsunął ją na brzeg kanapy i zaczął pieścić. Nie mogła oderwać spojrzenia od jego niebieskich, rozjarzonych tajemniczym blaskiem oczu.

Pochylił się powoli. Marie nerwowo oblizwała wargi. Za wszelką cenę usiłowała zapanować nad oddechem.

– Co ty ro...? – Zamilkła, gdy wtulił twarz w jej łono. Odruchowo napięła mięśnie. Szarpnęła się. Nie spodziewała się czegoś takiego. Pragnęła seksu. Lecz to było coś tak innego i niespodziewanego, że znów opadły ją wątpliwości, czy powinna mu pozwolić.

Jęknęła głucho. Wypreżyła się. I nic nie mogła zrobić, gdy przesunął jej nogi na swoje ramiona. Wzlatywała. Znikły wszystkie więzy trzymające ją na

ziemi. Pozostały tylko ręce Davisa na jej biodrach i jego usta na...

Marie wiła się i prężyła, całym ciałem wychodziła mu naprzeciw. Jego ruchliwy język dostarczał jej doznań, od których z wolna traciła zmysły. Eksplozje rozkoszy następowały coraz częściej. Były coraz mocniejsze.

Oddała się mu bez reszty. Przepadły gdzieś wstyd i skromność. Starła się otworzyć przed nim jak najszerzej. Ułatwić mu dostęp. Mocniej, głębiej.

Wstrząsana kolejnymi falami doznań, dziko rzucała głową na wszystkie strony. Nie widzące oczy wbiła w sufit, rękami gorączkowo szukała Davisa. Każda komórka jej ciała wibrowała aż do bólu. A przecież pragnęła, by trwało to wiecznie. Nikt przedtem nie był z nią tak blisko. Nie dotykał jej w taki sposób. Nigdy nie marzyła nawet o podobnych pieszczotach. Czuła na sobie silne męskie dłonie. Dające poczucie bezpieczeństwa. Dotarła do kresu z głośnym krzykiem. Całym jej ciałem zaczęły wstrząsać dreszcze.

Po kilku chwilach, może godzinach, usłyszała szept tuż przy uchu:

– Chodź ze mną, Marie.

Drżąc jeszcze cała, otworzyła oczy. Ujęła podaną rękę, wstała i poszła za Davisem do sypialni.

Ciemność za oknem migotała świątecznymi lampkami. Światło księżyca sączyło się przez drzewa. Jego srebrzysta poświata oświetlała wielkie, podwójne łóżko, jakby znacząc drogę do raju.

Davis odrzucił narzutę. Ułożył się w świeżej pościeli, pociągając Marie za sobą. Przytulił ją mocno.

Wsparł się na łokciu i z biciem serca popatrzył na jej piękną twarz, na rozrzucone na poduszce włosy.

Pogłaskał ją ostrożnie. Z cichym westchnieniem otworzyła oczy.

– To było zdumiewające. Niesamowite – wyznała.

Zgadzał się z nią całkowicie. Poczul jej orgazm tak wyraźnie, jakby to był jego własny. Na samo wspomnienie opadła go fala gwałtownego podniecenia. Jej smak, dotyk jej rąk. Nie spodziewał się zaznać czegoś takiego. Nigdy przedtem nie czuł tak bliskiego kontaktu z kobietą. Przerazało go to i intrygowało zarazem.

Ale to nie była pora na rozmyślania. W tamtej chwili pragnął tylko stać się częścią niej. Wypełnić ją sobą. Zsunął się z łóżka i błyskawicznie pozbył ubrania. A kiedy znów ułożył się przy niej, szeroko rozwarła ramiona. I zdało mu się, że po raz pierwszy w życiu wrócił do domu. Popatrzył jej w oczy. Poczul, że ogarnia go dziwne uczucie. Sam nie wiedział, jak to nazwać.

Szybko jednak poniechał tych myśli. Wszelkich myśli.

Poczul bowiem dłonie Marie sunące po jego ciele. Łagodne, delikatne i spragnione. Uświadomił sobie, że ona pragnie połączenia równie mocno jak on.

Pochylił się i pocałował jej pierś. Poddała się temu z uśmiechem.

Davis stęknął głucho. Dotykał Marie, pieścił ją. Coraz odważniej i głębiej. Aż stało się tak, że nie mógł już czekać ani chwili. Uniósł się na łokciach i ułożył między jej udami.

Na mgnienie oka zastygł w bezruchu. Spojrzeli sobie głęboko w oczy. A potem wsunął się w nią.

Jej zielone oczy stały się jeszcze większe. A on zagłębiał się wolnusięńko, chłonąc każdą sekundę rozkoszy.

– Marie – wydusił. Opuścił się na rękach. Przytulił do niej z całej siły.

– Wejdz we mnie głębiej – usłyszał jej szept. – Pragnę cię.

I on także jej pragnął. Bardziej niż powietrza.

Pocałował ją. Wpił się wargami w jej usta. Mocno i namiętnie. I pchnął, aż do końca. Marie jęknęła głośno i zeszywniała na chwilę. A Davis zrozumiał wtedy, że stało się to, co powinien był przewidzieć wcześniej.

Marie Santini była dziewicą!

Jej głowa opadła na poduszkę. Uśmiech tryumfu rozjaśnił twarz. Oto czuła Davisa w sobie. Wewnątrz. Było to uczucie wspaniałe i niezapomniane.

Złączone ciała, serca bijące jednym rytmem, tajemnicza magia towarzysząca całemu wydarzeniu aż zapierały dech w piersiach. Spostrzegła zaskoczenie w oczach Davisa. W tym właśnie momencie zrozumiała, że go kocha. Jakkolwiek śmiesznie by to zabrzmiało, pokochała człowieka, którego знаła krócej niż tydzień.

I choć rozum głośno temu zaprzeczał, serce wiedziało, że to prawda. Otwierała już usta, by mu wyznać miłość, lecz on odezwał się pierwszy.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– W tym momencie to nie było ważne – odparła. Uśmiechnęła się i poruszyła biodrami. Nie bała się. Niczego. Myślała tylko o tym, by zaspokoić pulsujące gdzieś w środku pragnienia. Zacisnęła powieki. Pomału kołysała biodrami, pomrukując z zadowolenia.

– Psiakrew! – zaklął Davis cicho i wtulił twarz w jej ramię. Złość ustępowała z wolna, przeganiana powracającym pożądaniem.

– Czy możemy odłożyć tę sprzeczkę na później? – spytała. Wprawiała teraz biodra w ruch obrotowy i Davis stęknął ciężko.

Marie ma rację, pomyślał. Nie czas na gadanie! Nie teraz, kiedy wszystkie myśli skupić mógł tylko na tym, by znaleźć się w niej jeszcze głębiej.

– Tak! – sapnął. Marie oplótła go nogami i ponaglała przy każdym ruchu. Pragnąc wziąć wszystko, co miał do zaoferowania, dawała w zamian całą siebie.

Żądza zaślepiła go zupełnie. Pragnął już tylko jednego. I w całkowitym zapamiętaniu do tego zdązał. Kiedy wreszcie oboje dotarli do szczytu, Davis głośno wykrzyknął imię ukochanej i opadł miękko w jej ramiona.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pomalutku, ostrożnie Davis wysunął się z Marie i padł u jej boku jak nieżywy.

Całe ciało Marie pulsowało jeszcze rozkoszą. Resztką sił obróciła głowę na poduszce, by spojrzeć na kochanka. Miłość, pomyślała nieprzytomnie. Kto by pomyślał? Nawet nie marzyła, że ją znajdzie. I nie miało znaczenia, czy Davis ją kocha.

Godziła się na to z pełną świadomością, że może nadejść taki dzień, gdy oczarowanie minie i Davis odejdzie. Jednak niczego to nie zmieniało. Marie radowała się chwilą, póki trwała.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Jeszcze jak, pomyślała. Nie zamierzała jednak wyznawać mu miłości. Spojrzała tylko w jego niebieskie oczy i powiedziała miękko:

– Choćby wybuchł pożar czy zaczęło się trzęsienie ziemi, będę tu leżeć.

– Ja też – uśmiechnął się.

– W takim razie – powiedziała i poklepała go po ramieniu – na wszelki wypadek chciałam ci podziękować.

– Podziękować? – Davis zamrugał gwałtownie powiekami.

Marie oddychała głęboko. Była zupełnie wyczerpana i rozleniwiona. To było wspaniałe uczucie.

– Tak, podziękować. Byłeś... To było... – Zmieszała się. – Brakuje mi słów.

Davis uniósł się na łokciu i popatrzył na nią uważnie. Dziwne. Wcale nie wydawał się tak szczęśliwy jak ona.

– No, cóż – powiedział cicho. – Mnie nie. Zdumiona Marie nie mogła pojąć jego niezadowolenia.

Doskonale wiedziała, że wraz z nią zaznał rozkoszy. Ale może nie znała się na tym zbyt dobrze? Uśmiechnęła się do swoich myśli. Miała już dużo więcej doświadczenia niż przed godziną czy dwiema.

– Nie wiem, co cię tak rozbawiło.

– Jeśli to prawda – powiedziała i uśmiechnęła się do niego – to nie doceniasz samego siebie.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Do diabła, Marie! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Czego?

– Że byłaś dziewicą. Parsknęła śmiechem.

– Dlaczego miałabym o tym mówić?

– Bo... – Zdenerwowany, przeczesał palcami włosy. – Powinnaś była...

– Czy są jakieś reguły, które to nakazują? – spytała zdumiona.

– Jasne! – warknął. Usiadł, wyraźnie zdenerwowany.

– Kurczę! Tak mi przykro. Przepraszam – powiedziała tonem, w którym nie było nawet odrobiny skruchy. Obróciła się na bok, żeby wyciągnąć spod siebie kołdrę i przykryć się nią. – Zapomniałam przeczytać „Poradnik uprawiania seksu dla początkujących”.

– Och! – burknął Davis. – Ale śmieszne.

– Dziękuję – odparła, szarpiąc się z upartą kołdrą. – Chciałam, żeby było zabawnie.

– Doprawdy?

– Masz jakieś skargi czy zażalenia? – Do diabła, co z tą kołdrą?! pomyślała.

– Nawet kilka.

– Może byłoby lepiej, gdybyś je spisał – zaproponowała. Nie mogła pojąć, gdzie zniknął nagle tamten czarowny nastrój. Zauważyła, że to Davis przyciska tę nieszczęsną kołdrę. – Przesuń się.

– Przesunąć się?

– Siedzisz na kołdrze.

– Proszę o wybaczenie. – Uniósł się, a ona okryła się wreszcie.

– Wybaczam – powiedziała. – Widzisz, jakie to było łatwe? – dodała.

– Do diabła, Marie, to nie żarty! Powinnaś była mnie uprzedzić.

– Ojej! – zawołała. Podciągnęła kołdrę aż pod brodę. – A kiedyż miałam to uczynić?

– Co? – Wlepił w nią zdumione spojrzenie.

– Kiedy? – powtórzyła. Uniosła się trochę i usiadła wygodniej. – A! Już wiem. – Poczowała rosnącą złość. – Pierwszego dnia. Kiedy przyproważyłaś samochód.

– Hm?

– Oczywiście. – Gwałtownie pokiwała głową. – Kiedy ruszaliśmy na pierwszą próbną jazdę, powinnam była powiedzieć: „Poproszę o kluczyki. A przy okazji, powiem ci, że jestem dziewicą?”.

– Marie!

– Albo nie. Później. Przy obiedzie z moją rodziną – mówiła coraz głośniej. – Mogłam powiedzieć: „Davisie, podaj, proszę, półmisek jedynej dziewicy przy stole”. Mogło to być trochę krępujące dla Giny, ale ty przynajmniej byłbyś uprzedzony.

– Zaczynasz być śmieszna.

– Ani trochę. – Nie zamierzała ustąpić. – Przyznaję ci rację. Tak, zgadzam się, przegapiłam kilka doskonałych okazji do ujawnienia mego poniżającego stanu. Pomyślmy jeszcze o treningu baseballowym. Mogłam oświadczyć: „Jestem dziewicą, więc może zechciałbyś nauczyć Jeremy’ego prawidłowego uderzenia?”.

Davis zerwał się na równe nogi i zaczął nerwowo krążyć po pokoju.

– Powinnaś była powiedzieć mi dzisiaj. Psiakrew!

– Przy obiedzie? – Uklękła, przyciskając kołdrę do piersi jak tarczę. –

Może wtedy, kiedy kelner upuścił ci sałatę na kolana? Mogłoby to brzmieć jakoś tak: „Pozwól, że pomogę ci pozbierać tę sałatę, Davisie, jestem dziewicą”.

Zatrzymał się gwałtownie. Popatrzył na nią. Serce podeszło Marie do gardła. W bladej księżycowej poświacie muskularne ciało Davisa wyglądało jak posąg: „Wściekły kochanek”.

O rety! Ma kochanka!

W dodatku mogło się okazać, że kochali się po raz pierwszy i ostatni zarazem.

– Uważam, że powinnaś była powiedzieć mi o wszystkim tutaj, wieczorem.

– Kiedy dokładnie, Davisie? – Wstała. – Tam, na kanapie? – Na samo wspomnienie zdrząły jej kolana. – Czy tutaj, w łóżku? W którym momencie? Może mi to łaskawie wyjaśnisz?

– Kiedy jeszcze można było przestać.

– Ale ja nie chciałam przestać.

Davis ukrył twarz w dłoniach i jęknął przeciągle. Podeszedł do Marie, chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– Nie chciałaś przestać? Zasłużyłaś na lepszy pierwszy raz.

Czy to możliwe? Czyżby miał o sobie aż tak złe mniemanie? W tym przypadku z całym przekonaniem mogła wystawić mu najlepszą notę.

Położyła dłoń na jego policzku i zajrzała głęboko w oczy.

– Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być lepiej – powiedziała.

Gwałtownie pokręcił głową. Przyciągnął ją do siebie i zamknął w potężnym uścisku. Oparł brodę o czubek jej głowy.

– W tym sęk – przyznał. – Nawet sobie nie wyobrażasz. Ale ja tak. Gdybym wiedział...

Gdyby wiedział, pomyślała Marie, mógłby się nie zgodzić. A ona straciłaby tak niewiarygodne doświadczenie. Nie. Cokolwiek Davis myślał, jej zdaniem sprawy potoczyły się jak najlepiej.

Pozwoliła, by dzieląca ich kołdra opadła na łóżko. Przytuliła się do Davisa. Czowała miarowe bicie jego serca.

– Nie zmieniałabym niczego. Naprawdę.

Ścisnął ją tak, że omal nie połamał jej żeber. Rozluźnił uścisk, lecz nie wypuścił jej z objęć.

– Czemu właściwie tak się tym przejmuję? Psiakrew! Przecież to ty powinnaś być zła.

– Dlaczego? Było cudownie. Jestem szczęśliwa, że przestałam być dziewicą. Nie wyolbrzymiaj sprawy.

– Zasługujesz na coś znacznie lepszego – powtórzył z przejęciem.

Naprawdę nie zdawał sobie sprawy, ile jej ofiarował? Ileż kobiet na świecie może cieszyć się myślą, że ich pierwszy raz miał miejsce z mężczyzną, którego kochały?

Było, rzecz jasna, ładnie z jego strony, że tak troszczył się o jej odczucia.

Ale przecież i tak nie mógł wiedzieć, że ich wspólne chwile były po prostu piękne. Wprost cudowne.

– Zasługuję na rozkosz, którą mi ofiarowałeś – powiedziała.

Parsknął śmiechem, który jednak szybko uwiązł mu w krtani.

– Rozkosz, powiadasz? Ma to jeszcze inne strony, wiesz?

– Doprawdy?

– Jest coś jeszcze, o czym musimy porozmawiać.

– O co chodzi tym razem? – Dlaczego on szuka dziury w całym? Czemu nie może być szczęśliwy, skoro ona jest w siódmym niebie?

– Nie zabezpieczyliśmy się w żaden sposób, Marie.

– Nie zabezpieczyliśmy się? – powtórzyła. Poczwała ukłucie lęku.

– O nic się nie martw – powiedział uspokajająco. Zauważył przestrach w jej oczach. – Jeśli łykasz pigułki systematycznie, nie mamy czego się obawiać.

Pigułki antykoncepcyjne. Oczywiście! Ale przecież dwudziestosześcioletnia dziewica nie łyka pigułek w nadziei, że może kiedyś znajdzie się ktoś... I że może wtedy...

– Marie?

Teraz wystraszyła się naprawdę. Zabezpieczenie. W ogóle o tym nie pomyślała. Jasny gwint! Czyżby ciążą miała zapłacić za pozbycie się dziewictwa?

– Nie łykasz pigułek?

– Nie łykam.

– Cholera! – Davis głęboko nabrał powietrza w płuca. Poczwała, że obejmujące ją ramiona naprężyły się mocno.

– Wszystko będzie dobrze, naprawdę. To moja wina. Powinienem był...

– Było nas dwoje, Davisie – zauważyła. I w tym tkwił problem. Nie mogła się zgodzić, by brał całą winę na siebie.

– Oboje jesteśmy dorośli. Popełniliśmy błąd.

– Wielki błąd.

– Jak już popełniać błąd, to na całego – mruknęła.

Davis uniósł głowę i wbił nie widzące spojrzenie w ciemny sufit. W myślach obrzucał samego siebie najstraszliwszymi obelgami. Ostatni raz zrobił coś równie głupiego w wieku siedemnastu lat. Z koleżanką z sąsiedztwa.

Dziewica, pomyślał. Po raz pierwszy spał z dziewczyną. Świadomość, że Marie wybrała właśnie jego, wstrząsnęła nim i ujęła go zarazem. Zaufała mu. Pozwoliła, by wprowadził ją w świat miłości. Nie mógł zawieść jej zaufania.

Nie tylko pozbawił ją dziewictwa. Mogło też się zdarzyć, że to z nim zaszła w ciążę.

Usiadł na brzegu łóżka i wziął ją na kolana. Dotyk jej nagiej skóry sprawił go w podniecenie. Zawsze dotychczas, gdy zaspokoił pożądanie, był usatysfakcjonowany. A Marie budziła w nim coraz większy apetyt. Usłyszał w głowie dzwonek alarmowy, lecz zignorował go natychmiast.

– Ładnie to ujęłaś – powiedział miękko.

Usadowiła się wygodniej. Davis głęboko nabrał powietrza, by zapanować nad swoim ciałem. Bez skutku.

– Czy histeria po fakcie może działać jak środek antykoncepcyjny? – Wzruszyła ramionami.

– Nie. – Mocno objął ją w talii, żeby przestała się wiercić.

– No to w czym problem?

Zdumiewająca dziewczyna! W ciągu kilku ostatnich dni naprawdę ją polubił. Łagodna i cierpliwa, sprytna i zabawna, a przy tym świetny mechanik, Marie Santini była porażająco doskonałą kobietą. Teraz przekonał się, że jest również świetnym kompanem w sytuacjach kryzysowych. Nie traciła głowy. Nie szlochała i nie krzyczała. I gdyby on był inny, bez wątpienia padłby przed nią na kolana i błagał ją o rękę.

On jednak tylko w milczeniu spojrzał jej w oczy. W ich zielonej głębi dostrzegł łagodne światło marzeń. Tak silne, że z trudem powstrzymał się od ucieczki. Marie pragnęła rodziny. A on nie umiał jej tego dać.

Choć gdzieś w głębi duszy bardzo tego pragnął. Wspólnego domu właśnie z tą kobietą.

– Jesteś naprawdę niezwykła, wiesz?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Jeremy powiada, że jestem bombowa.

– Bombowa?

– To chyba jest komplement.

– Chcę, żebyś wiedziała, że jeżeli jesteś w ciąży...

– Tym problemem będę się martwić, jeżeli pojawi się naprawdę.

– My będziemy – poprawił stanowczo. Chciał, żeby Marie wiedziała, że przynajmniej może mu zaufać, że jej nie zawiedzie. Ani jej, ani dziecka. Dziecko? Boże, dopomóż!

– My będziemy? – powtórzyła z naciskiem, patrząc mu prosto w oczy.

Przynajmniej to zostało ustalone.

– Kiedy będzie wiadomo coś na pewno? – spytał.

– Przed świętami – odparła po krótkim namyśle. Za niecałe trzy tygodnie, pomyślał.

– Ale tymczasem... – Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Tak? – Spojrzał na nią uważnie.

Uśmiechnęła się. Uśmiechem, który odczuł jak potężny cios w żołądek. Zesztywniał cały. Poczł gwałtowną falę pożądania. Oho! Wpadł w prawdziwe tarapaty, skoro nawet bardzo prawdopodobne ojcostwo nie mogło zmusić go do ucieczki.

– Skoro już tu jesteśmy... – Marie odrzuciła włosy z twarzy. Delikatnie przesunęła palcem po jego brodzie i ustach. – Masz może, przypadkiem, któreś z tych zabezpieczeń?

– Prawdę mówiąc, mam – odparł. Od kilku dni nosił ze sobą kolorowe opakowania. W nadziei że może zdarzy się mu... z Marie. No i, oczywiście, gdy do tego doszło, zupełnie zapomniał o małej paczuszce, której zawartość mogła

uchronić ich przed kilkoma dręczącymi tygodniami niepokoju.

Marie uśmiechnęła się. Lecz tym razem był to inny uśmiech, taki, który od stuleci rzuca mężczyznom kobietom do stóp.

– A niech mnie! – szepnął Davis. Pogłaskał ją po szyi i wplótł palce w jej czarne, jedwabiste włosy. – Zawsze sądziłem, że dziewice są wstydlive.

– Jak sam to niedawno zauważyłeś – powiedziała i pocałowała go – ja już nie jestem dziewicą.

– Trafiony, zatopiony!

– Och! – szepnęła cichutko. – Nie przejmuj się tym aż tak bardzo.

Dwa dni później Marie na wpół leżała pod zlewem w kuchni mamy i dłużyła przy czymś z zapamiętaniem. Nagle usiadła i spytała:

– Czy to był telefon do mnie?

– Nie. – Gina siedziała na taborecie w kącie. Przewróciła stronę kolorowego magazynu i spojrzała z ukosa na siostrę. – Tak jak i dziesięć minut temu.

– Podaj mnie do sądu – warknęła Marie i znów wcisnęła głowę między rury. – Wydawało mi się, że słyszałam dzwonenie.

– Wcale mnie to nie dziwi. Możesz słyszeć nawet dzwony kościelne, skoro tak walisz głową w ten zlew.

Marie zacisnęła zęby. Mocniej ujęła w dłonie klucz francuski i ignorując docinki siostry, z mozołem usiłowała odkręcić oporną śrubę. Niech to diabli! Przecież zupełnie nie miała na to czasu. Powinna być teraz w warsztacie. Reperować samochód Laury. Powinna zrobić świąteczne zakupy. Powinna być... z Davisem.

Tak, to był prawdziwy problem! Wcale nie to, że mama wezwała ją do pomocy przy zatkanym zlewie. Od ich wspólnej nocy Davis Garvey nie dał znaku życia. Nic. Ani telefonu, ani odwiedzin w warsztacie. Nie zajrzał też do niej do domu. Było tak, jakby jednej czarodziejskiej nocy znalazła miłość swojego życia, by natychmiast ją stracić.

– Na czyj telefon tak czekasz? – spytała Gina słodziutko. – Hydraulika?

– Bardzo śmieszne – warknęła Marie. – Kiedy mama powinna wrócić?

– Nie powiedziała. To po niej mam tę miłość do zakupów.

– No, tak – stwierdziła Marie ponuro. – Nigdy nie zdołam dokręcić tego kolanka. Będziemy musiały jednak wezwać hydraulika.

– Ale wtedy zablokujemy linię telefoniczną. – Gina cmoknęła znacząco. – A tego przecież nie chciłybyśmy, prawda?

Marie zacisnęła pięść na żelaznym kluczu.

– Uważaj, Gino! Jestem uzbrojona i trochę wściekła. Gina odłożyła pismo i podeszła do siedzącej na podłodze Marie. Przykucnęła i zajrzała siostrze w oczy.

– Chodzi o Davisa, prawda? – spytała.

Marie umknęła spojrzeniem w bok. A potem długo i starannie pakowała

narzędzia do skrzynki. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat z Giną. Chciała uniknąć wyznania, że Davis nie tylko zostawił ją, jak wszyscy chłopcy, których kiedykolwiek znała, ale, co więcej, rzucił ją, zabierając jej dziewictwo.

Inna rzecz, że chyba zanadto się tym przejmowała. Od początku wiedziała przecież, że Davis nie myślał o jakimś poważnym związku. Chociaż, z drugiej strony, zaledwie dwa dni wcześniej wydawał się bardzo zaangażowany.

– To nie ma nic wspólnego z Davisem. – Starła się, by jej głos brzmiał jak najbardziej przekonująco. – Leje jak z cebra. Mam w warsztacie pilną robotę. Dodatkowo zmaganie się z kuchennymi rurami na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem może chyba popsuć mi humor, co?

– Ojej! – zawołała Gina.. – Czy to wystarczy, by mieć omamy słuchowe?

– Też coś! Coś mi się wydawało.

– Raz mogło ci się wydawać. Ale dwa razy?

– Może powinnam spróbować rozgrzać tę nakrętkę lampą do lutowania? – zmieniła temat Marie. – Wtedy powinna dać się ruszyć.

– Komu na tym zależy?

– Mamie.

– Chodzi o Davisa, prawda? – powtórzyła Gina.. – Dlatego nie patrzysz mi w oczy. Również z tego powodu unikałaś mnie przez ostatnie dni.

Bingo! pomyślała Marie, lecz nie odezwała się ani słowem. Gina była stanowczo zbyt spostrzegawcza.

– Zupełnie zwariowałaś.

– Spójrz więc mi w oczy i zaprzecz, że czekasz na telefon od Davisa.

– Proszę bardzo. – Marie zrobiła, co w jej mocy, by zapanować nad emocjami i spojrzała w brązowe oczy siostry. Z nadzieją że tamta niczego nie zauważy.

– Matko Boska! – jęknęła Gina..

Marie jęknęła głucho i odwróciła głowę. Popatrzyła na podłogę, omiotła wzrokiem sufit, wyjrzała przez okno, obejrzała wreszcie nieszczęsny zlew.

Jednak Gina nigdy nie dawała za wygraną.

– Zrobiłaś to, prawda? – zawołała, stukając dłonią w podłogę i uśmiechając się szeroko. – Zrobiłaś to z Davisem! – Zerwała się na równe nogi i klasnęła w dłonie. – Tak oto przestała istnieć ostatnia dziewica w rodzie Santinich.

No, no. Jej młodsza siostra była naprawdę dobra. Co ona ma w tych swoich oczach? pomyślała Marie. Radar?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Deszcz głucho dudnił w brezentowy dach mustanga, dzwonił, bijąc w maskę i zderzaki. Samochód stał przed domem Santinich. Przez spływające po szybie strumienie wody Davis przyglądał się domowi Marie. Czy to możliwe, że był tam zaledwie dwa dni wcześniej? Czy naprawdę minęły tylko dwie doby od chwil, które spędził, wtulony w rozkoszne ciało Marie?

Zdawało się mu, że trwało to dużo dłużej.

Nerwowo przyglądał włosy i położył dłoń na kierownicy. Stukał palcami w rytm padającego deszczu. Przypomniawszy sobie, że przecież świadomie odsunął się od Marie. Chciał dać jej możliwość przemyślenia tego, co się stało. Bez względu na wszystko, co mówiła, uważał, że to, co zaszło między nimi, nie było sprawą błahą. Musiał mieć pewność, że będzie miała dość czasu do namysłu. Tamtej nocy spostrzegł ten delikatny błysk w jej oczach. Rozpoznał go bez trudu. Była to reakcja na ledwie minione chwile rozkoszy. Ale ona była dziewicą. Nie wiedziała, że można zaznać podobnych rozkoszy z innymi.

– Kłamca – mruknął. Poznał w przeszłości zbyt wiele kobiet, by nie zauważyć, że to, co przeżyła Marie, było dla niej absolutnie nowe i niepowtarzalne. Coś stało się między nimi.

Coś potężnego i żywiołowego. Wraz z Marie osiągnął szczyty, jakich nie poznał nigdy przedtem.

A potem odsunął się od niej.

Ścisnął kierownicę, omal ją łamiąc. Teraz Marie mogła żałować, że w ogóle kiedykolwiek spotkała Davisa Garveya. I choć prawdopodobnie lepiej byłoby dla nich obojga, gdyby kazała mu iść do diabła, to przecież miał szaloną nadzieję, że nie zrobi tego.

Dwa dni bez jej obecności pozwoliły mu zrozumieć, jak bardzo lubił jej towarzystwo. Teraz tęsknił za jej uśmiechem, za dźwiękiem jej głosu.

Tęsknił za Marie.

Musiał z nią porozmawiać. Jeśli mieliby nadal się spotykać, powinna wiedzieć, że choć uwielbia z nią przebywać, nie ma dla nich żadnej przyszłości.

– O, tak! Doskonały pomysł, żołnierzu – bąknął pod nosem. – Wspaniałe słowa dla dziewczyny, która może być z tobą w ciąży.

Przemknęło mu przez myśl coś, czego nawet nie chciał nazwać. Dziecko. Potrząsnął głową. Nie. To niemożliwe. Bóg nie może skazywać niewinnego dziecka na życie z ojcem takim jak Davis.

Z tą nadzieją wysiadł z samochodu i stanął w strugach lodowatego deszczu.

– Opowiedz mi wszystko. Ze szczegółami – nalegała Gina z wypiekami na twarzy.

Na zewnątrz wiatr tłukł deszczem o szyby. Zdawało się Marie, że zimowy

chłód przenika przez szklane tafle i przesywa ją do szpiku kości. Poczua się nagle jak robaczek rozplaszczony pod mikroskopem. Zbyt dobrze znała siostrę, by nie wiedzieć, że Gina nie popuści, dopóki nie wyciągnie z niej wszystkiego.

– Nie ma mowy. – Energicznie pokręciła głową. Tamta noc była wyjątkowo... tajemnicza. Opowiadanie o tym, co zaszło między nią a Davisem odebrałoby jej ten szczególny urok. Czua, że choćby miała całe życie spędzić sama, zawsze będzie wracać do niej wspomnieniami.

– Och! Daj spokój – nalegała młodsza siostra. – Wspaniała Marie wreszcie dała nurka. To ci dopiero nowina.

– To moja prywatna sprawa – odparła Marie cicho. Wiedziała, że i tak nie zdoła powstrzymać ciekawości Giny.

Rodzina Santinich słynęła z wielkiego uporu. Obie siostry wbiły w siebie spojrzenia. Każda szukała w oczach drugiej oznak słabości.

Przez długą chwilę tylko deszcz burzył panującą ciszę. W końcu Gina dała za wygraną. Opuściła ramiona i powiedziała cicho:

– Powiedz mi chociaż, jak było. Dobrze?

Marie przyglądała się młodszej siostrze z rosnącym zdumieniem. Czy to możliwe? Czyżby ta frywolna, uganianiająca się za chłopcami Gina nie była aż tak doświadczona, jak usiłowała wszystkim wmówić?

– Jak było? – powtórzyła Marie. – Czyżbyś...?

Gina wzruszyła ramionami. Uniosła ręce, machnęła nimi i opuściła je, zrezygnowana.

– Co mam powiedzieć? – bąknęła. – Kłamałam. Wcale nie ty byłaś ostatnią dziewczyną w rodzie Santinich. Ja nią jestem.

To było naprawdę poruszające wyznanie. Marie przypomniała sobie wszystkie chwile, kiedy Gina drwiła z jej braku doświadczenia, i zachmurzyła się.

– Dlaczego kłamałaś? – spytała gniewnie.

– A dlaczego nie? – Gina odparła dziwnie nieśmiało. – Nikomu nic do tego, co robię. Albo czego nie robię, prawda?

– Ale ciebie interesowało, co ja robiłam.

– Pewnie. – Gina uśmiechnęła się. – Przecież jesteśmy siostrami.

Oto cała Gina!

– Ale...

– Żadne ale – przerwała jej Gina. – Powiedz mi tylko, czy mogę spodziewać się czegoś dobrego.

Dobrego? To słowo nawet w drobnej części nie oddawało żaru, jaki ją ogarniał, kiedy Davis jej dotykał. Ognia, który zapłonął w niej tamtej nocy. Nieprawdopodobnej rozkoszy, której zaznała.

Jak mogła opowiedzieć Ginie coś, czego nie można opisać? Czego nie da się pojąć, dopóki nie zazna się tego samemu. To tak jak z regulowaniem gaźnika. Można nauczyć się na pamięć wszystkich kolejnych czynności, ale dopóki nie zrobi się tego samemu, nie wie się, na czym to polega.

Poza tym jak mogłaby wyjaśnić Ginie, że po tak cudownej nocy Davis unika jej już dwa dni? Nie, pomyślała. Żadnych szczegółów.

– Tak, to jest dobre. – Gina uśmiechnęła się. Marie przymknęła oczy i wróciła wspomnieniami do upojnych chwil. – Z właściwym człowiekiem – nawet wspomniała.

– Kochasz go, prawda? – spytała Gina.

Marie szeroko otworzyła oczy. Zdawała sobie sprawę, że spostrzegawcza siostra musiała zauważyć, co się z nią dzieje. Miłość do Davisa miała wymalowaną na twarzy. Ale przecież zawsze warto spróbować się wykręcić.

– Ależ skąd! – Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, ale na nic lepszego Marie nie mogła się zdobyć.

– Już ci uwierzyłam – zakpiła Gina.

– To dobrze. A teraz zostaw mnie w spokoju. Muszę skończyć naprawę tego przeklętego zlewu.

– Zapomnij o nim.

– Mama na pewno ci podziękuje.

– Marie! Ja wiem, że go kochasz.

– Skąd masz tę pewność?

– Bo... W przeciwnym wypadku nie poszłabyś z nim do łóżka.

Prosta odpowiedź. I prawdziwa.

– Daj spokój, Gino – powiedziała Marie z naciskiem.

– Nic z tego.

Zacięcie malujące się na twarzy siostry upewniło Marie, że nie uniknie tłumaczeń.

Gina natychmiast wyczuła słabnący opór przeciwnika i ruszyła do ostatecznego natarcia.

– O co więc chodzi? – spytała cicho.

– Ile masz czasu? Gina uśmiechnęła się.

– Ile tylko potrzeba.

– Czyli nie ustąpisz? – domyśliła się Marie. – Zastanówmy się. Znam go tak krótko.

– Mama i tata poznali się tydzień przed ślubem.

– To coś zupełnie innego. – Marie odwróciła się i głośno trzaskając narzędziami, zaczęła szukać w skrzynce odpowiedniego klucza. – Łączy nas tylko wspólne zainteresowanie samochodami, nic więcej. Mam wrażenie, że na sam dźwięk słowa „miłość” Davis uciekłby tak daleko, że nie odnalazłby go nawet oddział najlepiej wyszkolonych zwiadowców.

– Czemu nie spróbujesz? Nie przekonasz się sama?

– Słucham? – Marie spojrzała na siostrę, jakby tamta zupełnie postradała zmysły.

– Powiedziałam, żebyś spróbowała. – Gina wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. – Nie masz nic do stracenia. Jeśli ucieknie – krzyżyk na drogę. Ale jeśli nie, ród Santinich zyska kolejną romantyczną historię do opowiadania

następnym pokoleniom.

– Łatwo ci powiedzieć – bąknęła Marie. Przez chwilę rozważała pomysł, czy nie wyznać Davisowi miłości. Ale jak miała to zrobić, skoro potraktował ją w taki sposób? Co by było, gdyby usłyszała w odpowiedzi: „Dziękuję, nie skorzystam”?

Nie. Niech sekret pozostanie sekretem. Trzeba cieszyć się tym, co los daje.

– Właśnie masz okazję – oznajmiła Gina, patrząc w okno za plecami Marie.

Marie podażyła za jej spojrzeniem. Poprzez strugi deszczu ujrzała Davisa stukającego do frontowych drzwi. Serce na moment przestało bić jej w piersi. Klucz wysunął się z nagle osłabłych palców i z hałasem upadł na podłogę.

Wrócił. Davis wrócił!

Nim Marie zdołała wykrztusić choćby słowo, Gina zerwała się na równe nogi, podbiegła do kuchennych drzwi i otworzyła je szeroko.

– Hej! Davis! Marie jest tutaj – zawołała.

Odwrócił się gwałtownie, kiwnął głową i ruszył biegiem przed siebie. Zatrzymał się na progu, niecierpliwym spojrzeniem przeszukał kuchnię. Odnalazł Marie. Spojrzał na nią oczami tak pełnymi uczucia, że dziewczyna w całym ciele poczuła dreszcze.

– Zjawileś się w samą porę. – Gina prawie wciągnęła gościa do środka i zamknęła drzwi.

Marie spojrzała na nią z niepokojem. Nie mogła przecież dopuścić, by siostra oświadczyła: „Marie jest w tobie zakochana. Co ty na to?”.

Gina, jakby czytając w jej myślach, uśmiechnęła się.

– Na co? – spytał Davis, nie spuszczać wzroku z Marie. Milczała wystarczająco długo, by przyprawić Marie o zawał serca.

– Zlew mamy zapchał się, a nasza mała monterka nie może dać sobie z nim rady.

Mimo chwilowej ulgi Marie posłała siostrze groźne spojrzenie.

– Naprawdę nie musisz mi pomagać – powiedziała. – Sama się z tym uporam.

Gina stała za plecami Davisa. Wymachiwała rękami i robiła dziwne miny. „Nie bądź głupia”, zdawała się mówić.

Marie nie zwracała na nią uwagi.

Davis także.

Odkąd przekroczył próg kuchni, nie widział nikogo prócz Marie. W chwili gdy ją ujrzał, poczuł potężny ucisk w piersiach. Jest gorzej, niż sądziłem, pomyślał z lękiem.

– No, cóż – odezwała się Gina na tyle głośno, by zwrócić na siebie uwagę – chyba zostawię was przy tej brudnej robocie. Pozwól, Davisie... – Sięgnęła po jego płaszcz przeciwdeszczowy. – Powieszę go na ganku.

– Dziękuję. – Podał jej płaszcz, wcale na nią nie patrząc. Gina wyszła,

lecz żadne z nich nawet tego nie zauważyło.

Davis ani na moment nie spuszczał wzroku z Marie. Przypomniawszy sobie, że przyszedł tu, by poważnie z nią porozmawiać. Powiedzieć jej, że nie jest domatorem, człowiekiem, jakiego potrzebuje. Niestety. Gdy patrzył na tę dziewczynę uczesaną w koński ogon, w błękitnym kombinezonie, mógł myśleć tylko o jednym. O tym, jak bardzo jej pragnie.

Żeby odpędzić jakoś te myśli, uklęknął obok niej i zajrzał pod zlew.

– Co tu się stało? – spytał.

– Nie mogę tego odkręcić. – Marie pochyliła się. Davis odwrócił głowę i tuż przed sobą ujrzał jej twarz.

Tylko całować! Kiedy przygryzła wargę, omal nie zawył. Co się ze mną dzieje, do diabła?! pomyślał.

– Dobrze znów cię zobaczyć – powiedziała.

– Dobrze znów cię zobaczyć – powtórzył za nią. Dobrze, wspaniale, fantastycznie. Ale tego nie powinien, nie mógł jej wyznać.

Odwrócił się więc i wcisnął pod zlew.

– Podaj mi klucz – poprosił.

– Świetnie sobie radzisz – stwierdziła po chwili Marie. – W wojsku wykorzystują twoje techniczne zdolności?

– Nie – sapnął. Z wysiłkiem ciągnął kluczem oporne kolanko. – Przekładam tylko papierki i ganim żołnierzy po skałach.

– Zmarnowany talent.

– Dziękuję. – Zapieczony gwint poruszył się w końcu.

Pracowali w milczeniu. Szybko i sprawnie, jak zgrany zespół. Po krótkim czasie robota była skończona Marie obejrzała wszystko uważnie i powtórzyła:

– Zmarnowany talent.

Davis wygramolił się spod zlewu i sięgnął po ręcznik, który mu podała. Stał z rąk smary oraz brud i powiedział:

– Pamiętasz, opowiadałem ci już o tym, że nieraz myślałem o otwarciu własnego warsztatu. Czegoś takiego jak zakład Santinich. – Właściwie dlaczego znowu jej o tym wspomniał?

– Zawsze chciałem odrestaurowywać stare samochody – ciągnął opowieść, dopóki nie zapoznał Marie z każdym szczegółem. Kiedy w końcu zamilkł, uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio mówił tak dużo. Tymczasem Marie wcale nie wyglądała na znudzoną. W jej oczach widać było niekłamanie zainteresowanie.

– Sam wyszykowałeś swojego mustanga? – spytała cicho.

– Tak. – Uśmiechnął się z dumą.

– Doskonała robota.

Odpowiedział jej skinieniem głowy. Marie znała się na tym. Oboje mówili tym samym językiem.

– Zrobiłem jeszcze corvette z pięćdziesiątego szóstego, thunderbirda z sześćdziesiątego czwartego i roadrunnera z sześćdziesiątego dziewiątego –

dodał.

Marie roześmiała się, a Davis uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za jej śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – spytał.

– To auta dla mięśniaków – odparła. – Prawdziwy z ciebie samiec.

– Związki mężczyzn z ich samochodami są najważniejsze. Nie wolno ich lekceważyć.

– Trafiony, zatopiony! – przypomniała mu jego własne słowa.

– Nie musisz przemawiać się aż tak bardzo – zrewanżował się jej tym samym.

Niespodziewanie znów wrócili wspomnieniami do pamiętnej nocy. Powietrze stało się gęste od rosnącego napięcia. Marie wstrzymała oddech. Spojrzała Davisowi w oczy i zrobiło się jej gorąco, mimo tego, co od niego usłyszała. A może raczej mimo tego, czego nie powiedział.

Podczas rozmowy o warsztacie i renowacji starych samochodów ani razu nie wspomniął o rodzinie. O żonie. O niej. No cóż. Nigdy przecież nie liczyła na to, że Davis zwiąże się z nią na poważnie. Prawdę mówiąc, była przekonana, że przed dwoma dniami widziała go po raz ostatni.

Pokochała człowieka, który – mówiąc obrazowo – stał już jedną nogą za drzwiami, gotów do ucieczki. Dostrzegła pożądanie w jego oczach. Wiedziała, że jej pragnie. Ale wiedziała też, że nic z tego nie wyniknie.

Spuściła oczy.

– Ja... Hm! – Sięgnęła po skrzynkę z narzędziami. – Myślałam o powiększeniu zakładu. Nie znam się jednak dość dobrze na restaurowaniu starych samochodów. Poza tym – dodała – zawsze brakowało mi albo czasu, albo pieniędzy.

W tym momencie drzwi się otworzyły z trzaskiem i mama Marie jak burza wtargnęła do kuchni. Stęknęła ciężko, zatrzasnęła drzwi i rzuciła na stół pakunki.

– Cześć, mammo!

Mama chwyciła się za gardło i obróciła na pięcie.

– Marie! Boże, dziewczyno, ale mnie przestraszyłaś! Dzień dobry, Davisie. Miło znów cię widzieć.

– Dzień dobry pani. – Davis zerwał się na równe nogi i pomógł wstać Marie. Potem już nie wypuścił jej dłoni.

Mama, oczywiście, zauważyła to, lecz nie powiedziała ani słowa.

– Zlew już naprawiony? – spytała.

– Tak. – Marie oswobodziła rękę. – Davis to zrobił.

– Bardzo dziękuję. – Mama uśmiechnęła się. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła. – Zostaniesz na kolacji, prawda? Muszę odwdziżyć ci się jakoś za tę ciężką pracę.

Marie spojrzała na niego kątem oka. Ze zdumieniem zobaczyła, że patrzy na nią pytająco. Zrozumiała, że nie jest pewien, czy ona chce, by został.

– Zostań, proszę – powtórzyła za mamą. W duszy myślała o czymś więcej niż tylko o kolacji.

Davis skinął głową.

– Dziękuję pani. Myślę, że mogę zostać na trochę.

Na trochę, pomyślała Marie. Na pewno nie tylko kolację miał na myśli. Z nią też chciał zostać tylko na trochę. Zastanawiała się, jak długo może trwać „trochę”? Wiedziała, że choćby oznaczało to nawet wiele lat, dla niej i tak byłby to zbyt krótki okres.

Następne godziny minęły jak z bicza strzelił. Chociaż znowu przez cały czas otaczała go rodzina Marie w komplecie, spostrzegł, że nie czuje się już wśród Santinich tak obco. Nie wiedział, czy dobrze to, czy źle. Gdy ktoś pogodzi się z faktem, że wciągają go ruchome piaski, odbiera sobie szansę ratunku. Traci zdolność dostrzegania nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Pomógł Angeli zainstalować nowy odtwarzacz płyt kompaktowych. Potem wraz z innymi śmiał się głośno, gdy Jeremy uparł się, żeby najpierw puścić jego płytę. Wreszcie, razem ze wszystkimi, podśpiewywał stare, dziecięce piosenki. A kiedy kobiety zajęły się szykowaniem kolacji, grał z chłopcem w gry telewizyjne.

– Fajnie, że tu jesteś – stwierdził Jeremy, rozbijając na ekranie samochód Davisa.

Davis skrzywił się. Co jest? pomyślał. Czy te dzieciaki rodzą się już z umiejętnością grania, czy co?

– Mój tatuś umarł, wiesz? – powiedział niespodziewanie malec.

– Tak, wiem. – Davis poczuł ukłucie smutku. Zbyt dobrze wiedział, co to znaczy stracić rodziców. Na szczęście Jeremy miał jeszcze matkę i babcię oraz dwie kochające go ciotki. Miał więcej szczęścia niż niejeden spośród jego rówieśników.

Był o wiele szczęśliwszy niż Davis przed laty.

– Wcale go nie pamiętam – dodał Jeremy.

To chyba nawet lepiej, pomyślał Davis. Gdyby ten chłopiec pamiętał ojca, wciąż dręczyłby się wspomnieniami. Stale rozmyślałby, „Co by było, gdyby...?”. Tak jak on.

– Oprócz mnie tu są same baby. Dlatego lubię, kiedy do nas przychodzisz.

– Dzięki. – Davis uśmiechnął się. – Ja też lubię tu przychodzić. – Sam był zdziwiony, jak bardzo.

Dom Santinich pełen był uroczego ciepła, które zdawało się zapraszać przybysza do środka. Z kuchni dolatywał śmiech i stłumione dźwięki rozmowy. Davis przyłapał się na tym, że pilnie nasłuchuje głosu Marie.

– Dlaczego nie ożenisz się z ciotką Marie? Mógłbyś wtedy być tu stale – zauważył Jeremy.

Davis długo gapił się na chłopca. Nie wiedział, co powiedzieć.

– To znaczy – ciągnął malec – wolałbym, żeby mama znów wyszła za

mąż. Fajnie byłoby mieć tatę. Ale wujek może być równie dobry.

Wujek? Wujek Davis.

Cholera! Spodobało się mu to. Wyraźnie poczuł siłę wciągających go ruchomych piasków.

Jeremy odłożył joystick na podłogę. Kiedy nie doczekał się odpowiedzi, poklepał Davisa po kolanie.

– Będiesz mógł przyjść jutro wieczorem? – spytał cicho. Rzucił przy tym nerwowe spojrzenia w stronę kuchni.

– Dlaczego jutro?

Jeremy pochylił się i teatralnym szeptem wyjaśnił:

– Bo jutro jedziemy kupić choinkę. A jeśli nie przyjedziesz, nie będziemy mogli pojechać na plantację.

– Dlaczego?

– Przecież dziewczyny nie mogą rąbać drzew. – Jeremy z niesmakiem pokręcił głową.

– Naprawdę? – Davis uśmiechnął się mimo woli.

– Wszyscy to wiedzą. Dlatego zawsze musimy kupować choinki w sklepie.

– Aha.

– Przyjedziesz?

Kupowanie choinki? Wujek Davis? Pograżał się coraz bardziej. Ale przecież nie mógł sprawić Jeremy'emu zawodu.

A poza tym będzie miał pretekst, by raz jeszcze zobaczyć Marie.

– Oczywiście.

– Obiecujesz? – Malec z napięciem patrzył mu w oczy. Davis zawahał się. Raz danego słowa nie będzie mógł złamać. Czy naprawdę tego chce? Tak, usłyszał jakiś głos w głębi duszy.

– Obiecuję – odparł.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wieczór z rodziną Santinich dobiegł końca i Marie poprowadziła Davisa do swojego mieszkania. Obserwowała go przez cały czas. Zauważyła, jak doskonale dogadywał się z mamą i jej siostrami. Dostrzegła też, jak bardzo polubił go jej siostrzeniec. Nie uszło jej uwagi jednak to, że choć bawił się bardzo dobrze, jednak wciąż zachowywał się z pewną rezerwą.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej nie miała nawet pojęcia, że istnieje jakiś Davis Garvey. Żyła swoimi sprawami i była szczęśliwa, choć może troszeczkę samotna. Jednak odkąd ten mężczyzna pojawił się, zrozumiała, że kiedy odejdzie, trudno jej będzie odnaleźć dawne szczęście.

Ulewa osłabła, ale drobny kapuśniaczek i tak przemoczył ją do ostatniej nitki. Zrobiło się jej zimno i chyba nie miało to związku z pogodą. To tylko jej serce przygotowywało się na odejście Davisa.

Odejście, którego była zupełnie pewna.

Otworzyła szerzej drzwi. Światło lampki, którą zostawiła włączoną, padało złotym kręgiem na kanapę, tę samą, na której kochali się po raz pierwszy. Marie zrozumiała, że już zawsze, wchodząc do salonu, będzie miała przed oczami najdrobniejsze nawet szczegóły przeżytych tutaj chwil.

Na samo wspomnienie poczuła gorąco rozlewające się po całym ciele.

Zamknęła drzwi. Kiedy odwróciła się, znalazła się tuż przed Davisem. Bliziuteńko. Uniosła głowę i aż wstrzymała oddech, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy. Pożądanie, łagodność, żal sprawiły, że jej serce ścisnęło się boleśnie.

– Marie! – Davis wziął ją za rękę i splótł palce z jej palcami. – Musimy porozmawiać o tamtej nocy. O tym, co zaszło między nami.

Czy tylko wydawało się jej, czy naprawdę w tych słowach zabrzmiał ukryty smutek, zwiastun rozstania? Marie nie chciała tego słuchać. Przynajmniej nie tej nocy. Pragnęła spędzić ją z nim, z Davisem. Tak naprawdę marzyła o tym, by mogła spędzić z nim całe życie. Ale ponieważ na to nie mogła raczej liczyć, musiała spróbować wywalczyć choć o tę jedną noc. Zanim Davis na zawsze odejdzie z jej życia. Ścisnęła jego dłoń i przytuliła ją do policzka.

– Nic nie mów, Davisie. Nie teraz.

Głęboko nabrał powietrza w płuca. Patrzył na nią długo, w milczeniu. W końcu Marie zauważyła, że pragnienia wzięły w nim górę. Tym razem wygrała.

– Popelniamy błąd – powiedział cicho. – Różnimy się za bardzo. Pragniemy czegoś zupełnie innego.

– Teraz – odparła równie cicho – pragniemy tego samego. Ty i ja.

– Taak – mruknął. – Masz rację. – Ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Początkowo delikatnie, ostrożnie. Potem coraz mocniej, zachłanniej.

Kiedy wcisnął język między jej wargi, przytuliła się doń z cichym jękiem. Żar oblał ją całą, aż po cebulki włosów.

Zakręciło się jej w głowie. Miała uczucie, jakby znalazła się w kolejce

górskiej w wesołym miasteczku. Jej serce tłukło się w piersi coraz mocniej. Rozbolała ją żołądek i poczuła suchość w gardle.

Oblała ją gwałtowna fala pożądania. Zerwała z Davisa płaszcz i koszulę. Nie przeszkadzał jej w tym. Potem rozpiął guziki jej kombinezonu i zsunął go aż do talii. Na koniec ściągnął z Marie koszulkę.

Chłodny powiew sprawił, że jej nagie sutki wyprężyły się. Davis pochylił się i ujął jedną z nich wargami. Marie krzyknęła. Zaciśnęła dłonie na jego ramionach. Davis objął ją mocno i oparł o drzwi. Jęknęła, gdy dotknęła plecami zimnego drewna. Potem jeszcze raz, mocniej, gdy całkiem zdjął z niej kombinezon i majteczki.

Wyswobodzona z ubrania, Marie pozwoliła unieść się fali pożądania. Objęła Davisa udami i ścisnęła go mocno. A on wciąż pieścił ustami jej piersi. Rozpalał ją, podniecał. Coraz bardziej i bardziej. Czowała, że oto znów zbliża się ten cudowny, wymarzony moment.

– Psiakrew! – warknął nagle Davis.

– Co się stało? – spytała Marie, z trudem panując nad oddechem.

– Nie zrobię tego jedną ręką – wydusił z siebie z wysiłkiem. Marie otworzyła oczy i ujrzała w jego dłoni małą, wielobarwną paczuszkę. Zrozumiała, o co chodzi.

– Ja to zrobię – powiedziała.

Podał jej opakowanie. Bez słowa patrzył, jak rozdziera folię i wydobywa prezerwatywę. Powolutku opuścił Marie na podłogę. Z zaciśniętymi zębami trwał bez ruchu, aż umieściła prezerwatywę tam, gdzie trzeba.

– Marie – jęknął. Tyle pragnień brzmiało w jego głosie, że nie mogła czekać już ani chwili. Nie potrafiła powstrzymać kipiącego w niej pożądania. Zaciśnęła powieki.

– Teraz, Davisie. Proszę. Teraz!

– Teraz – powtórzył jak echo. Wciąż przyciskając ją do drzwi, wsunął się w nią.

Marie jęknęła. Wygięła się, odruchowo wychodząc mu naprzeciw. Zaś on wtulił twarz w jej kark i jęknął jak konający.

A potem, po krótkiej, bardzo krótkiej chwili bezruchu ruszył jak szalony. Wchodził coraz głębiej, coraz mocniej się poruszając. Marie oplótła go nogami, objęła ramionami. Poddawała się nieokiełznanemu rytmowi dwóch ciał. Z każdym ruchem, z każdą chwilą rosło podniecenie. I wreszcie razem dotarli do kresu dzikiej gonitwy. Zastygli w spazmatycznym uścisku.

Drżąc jeszcze na całym ciele, Marie szepnęła:

– Kocham cię.

Natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd.

Davis zeszywniał. Zastygł bez ruchu.

Te dwa słowa wciąż dźwięczały mu w uszach. Zamknął oczy. Poczł oblewające go ciepło. Nikt nigdy nie powiedział mu, że go kocha. A kiedy w końcu usłyszał te słowa, nie wiedział ani co powiedzieć, ani co zrobić.

Pomalutku, delikatnie wysunął się z Marie i postawił ją na podłodze. Zapadła cisza.

To była jego wina. Pozwolił Marie zbliżyć się za bardzo. A teraz nie mógł odejść, nie zadając jej bólu.

– Davis – odezwała się w końcu. A on pojął, że nie ma wyboru. Musiał powiedzieć słowa, które zranią jej serce i duszę. Odrzucić dar, który od niej otrzymał. Wyjaśnić jej, że nie ma dla niej przyszłości z człowiekiem bez przeszłości.

– Marie – przerwał jej. – Ja nie zamierzam z nikim wiązać się na dłużej.

– Wcale tego nie oczekuję.

– Ale przecież powiedziałaś. Uśmiechnęła się smutno.

– Powiedziałam tylko, że cię kocham. To prawda. Davis wzdrygnął się. Nigdy nie marzył nawet, że usłyszy takie wyznanie. Nic w ogóle nie wiedział o miłości. Gdyby Marie chciała się dowiedzieć, jak zorganizować dwudziestoczterogodzinną operację zwiadowczą, wyjaśniłby jej to bez kłopotu. Umiałby rozebrać i złożyć karabin maszynowy, zanim w ogóle zdążyłaby o tym pomyśleć. Mógł też zrobić bez najmniejszego wysiłku sto pompek. Gdyby armia zażądała tego od niego, gotów był nawet chodzić po wodzie.

Ale w sprawach miłości był kompletnym laikiem. To Marie była ekspertem. On zaś był ślepy i głupi jak rekrut.

– Ty i ja... – zaczął nieskładnie. – To, co mamy, jest... dobre... – Dobre? Jeszcze nie skończył mówić, gdy zrozumiał, jak źle to zabrzmiało.

– Znacznie więcej niż dobre – powiedziała Marie. I jakby czytając w jego myślach, dodała: – Ale o tym chyba sam doskonale wiesz.

Zacisnął zęby. Zesztywniał. Dlaczego ta kobieta jest tak cholernie miła? Każda inna włóczyłaby go po rozżarzonych węglach. Ale też żadna, prócz Marie, nie wyznała mu dotąd miłości. Mogła więc zareagować inaczej, niż oczekiwał.

– Nie pozwól, by to było jeszcze trudniejsze dla nas obojga – powiedział.

– Nie martw się – odparła i włożyła kombinezon. Gapił się na nią jak odrętwiąły. Nie zapięła kilku górnych guzików. Na pół skryte pod ubraniem piersi wzbudziły w nim kolejną falę podniecenia. Jej potargane włosy. Błyszczące oczy. Usta stworzone do pocałunków. Pragnął jej jak niczego na świecie.

Zacisnął bezradnie pięści. Spodziewał się, że lada chwila Marie wybuchnie gniewem. Że wygarnie mu, co o nim myśli.

– Nie chciałam tego powiedzieć – ciągnęła. – Jakoś tak mi się to... wymknęło.

Ona się tłumaczyła?!

– Cholera! Marie! Wrzaśnij na mnie. Rzuć czymś. Jezu! Powiedz, jaki ze mnie sukinsyn!

Potrząsnęła głową.

– To nic nie da.

Jemu by to pomogło. Może zdołałby uwolnić się od przytłaczającego go poczucia winy.

– Marie – powiedział. – Nie chciałem cię zranić.

– Wiem.

– Nie oczekuj ode mnie więcej, niż mogę ci dać.

– Nie oczekuję od ciebie niczego, Davisie – odparła ze smutkiem. Powoli pokręciła głową.

– A powinnaś.

– Po co? Żebym się rozczarowała? – Podeszła do kanapy i usiadła, podkulając nogi. – Nie, dziękuję. Ale wcale nie zamierzam niczego ci ułatwiać. Nie powiem, że nic dla mnie nie znaczysz. Kocham cię.

Davis skrzywił się boleśnie. Z największym trudem powstrzymał się od ucieczki. Cóż był z niego za komandos, jeżeli wpadał w panikę na dźwięk dwóch słów? Cóż był z niego za mężczyzna, jeśli gotów był stawić czoło uzbrojonym po zęby przeciwnikom, a miłosne wyznanie powalało go na kolana?

– Rozumiem, że ty mnie nie kochasz – powiedziała cicho. – Tak to czasem bywa – dodała jeszcze ciszej. – Los płata nam różne figle.

– Marie...

– Wszystko w porządku, Davisie. Naprawdę. Niektórych ludzi się kocha, innych nie.

To nie było w porządku.

– Marie, bardzo cię lubię – zapewnił. Natychmiast pojął, że jej to nie wystarczy.

Delikatny, trochę nieobecny uśmiezek błąkał się po jej wargach.

– Nie wątpię. Ale lubić nie oznacza kochać, prawda?

– Nie. – Krótkie słowo z trudem przecisnęło się przez jego ściśnięte gardło i uderzyło w Marie jak pocisk. Bydłę! pomyślał o sobie. Lecz było już za późno.

– Wiesz, Davisie... Jeśli nie sprawi ci to kłopotu... Jestem trochę zmęczona.

Chciała, żeby poszedł sobie.

Nic dziwnego, pomyślał. Wyznała mu miłość, a on zniszczył wszystko. Poczuł nagle, gdzieś w środku, olbrzymią pustkę, jakby otworzyła się tam wielka, czarna otchłań, by połknąć jego serce i to, co naiwni ludzie nazywali jego duszą.

Powinien był lepiej przygotować się do tego spotkania. Wiedział, że nie istnieje dla niego i Marie wspólna przyszłość. Sam przecież nie chciał angażować się w żaden związek. Miał wcześniej kilka przygód. Krótkich i namiętnych. Ale Marie była pierwszą kobietą, którą poznał bliżej. I choć wydawało się to nielogiczne, poczuł zawód i rozczarowanie, że nawet nie poprosiła, by z nią został. Choć nie miało to najmniejszego sensu, pragnął, by chciała, żeby został. Nawet jeśli tego akurat uczynić nie mógł.

Nikt nigdy nie poprosił go, by został.

Przynajmniej w tym Marie była taka sama, jak inni.

– Dobrze – powiedział cicho. – Pójdę sobie. Póki jednak nie wyjaśni się ostatecznie, czy urodzi nam się dziecko, czy nie, będę w pobliżu.

– Och, Davisie – odezwała się ledwo słyszalnym szeptem. – Już jesteś tak daleko, że nie mogę cię dosięgnąć.

Miała rację. A jemu pozostała już tylko wiara, że łaskawy Bóg nie zechce skazać niewinnego dziecka na życie z ojcem takim jak on.

Gwałtownie wciągnął powietrze do płuc. Rzucił Marie ostatnie spojrzenie i wyszedł. Nie zaskoczyło go ani trochę, że w tym samym momencie niebo pękło jak balon i ulewny deszcz przemoczył go do suchej nitki.

Nie zasługiwał na nic lepszego.

Zimny wiatr hulał wśród świerków i jodełek. Powietrze pachniało Bożym Narodzeniem. Gruba warstwa trocin chrzęściła pod stopami krążących gorączkowo we wszystkich kierunkach tłumów ludzi. Wszyscy szukali drzewek, które najwspanialej pasować będą do ich salonów.

Z małego baraczku w kącie plantacji dolatywał aromat gorącej czekolady, hot dogów i prażonej kukurydzy. Przez ciężkie, ciemne chmury to tu, to tam przebijały się promienie słońca.

W samym środku radosnego i szczęśliwego tłumu, wśród dźwięków kolęd, dwoje zakłopotanych ludzi stało bez ruchu, patrząc sobie w oczy.

– Nie musiałeś tego robić. – Marie powtórzyła to już po raz trzeci.

Davis wbił dłonie w kieszenie dżinsów.

– Owszem, musiałem – odparł. – Obiecałem. Obiecał. To samo powiedział pół godziny wcześniej, gdy znalazł się przed domem Santinich. Marie zupełnie nie spodziewała się jego wizyty, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy. Najwyraźniej nie doceniła poczucia obowiązku sierżanta Garveya.

Przynajmniej Jeremy jest szczęśliwy, pomyślała. Odruchowo rozejrzała się po otaczającej ją ciżbie w poszukiwaniu siostrzeńca, ale chłopiec znów gdzieś zniknął. Przez ostatni kwadrans buszował wśród drzewek jak dziki jelonek. Był w siódmym niebie. I w ogóle nie dostrzegał skrzepowania towarzyszących mu dorosłych.

– Posłuchaj, Marie – zaczął Davis. Strach ścisnął jej serce. Nie chciała znów rozmawiać o poprzedniej nocy. Nie pragnęła przypominać sobie wyrazu jego twarzy w chwili, gdy wyznała mu miłość.

– Jeremy bawi się świetnie – stwierdziła. Poczowała żal do Giny i Angeli, że nie przyjechały tu zamiast niej. Że zostawiły ją samą z człowiekiem, który złamał jej serce.

– To prawda. – Davis nie spuszczał z niej oczu. Postawiła wyżej kołnierz płaszcza.

– Zrozumiałby, gdybyś nie przyjechał – powiedziała. – Wytłumaczyłabym mu wszystko.

Davis parsknął gorzkim śmiechem.

– Co byś mu wytłumaczyła? Że żołnierz tak bał się stanąć twarzą w twarz z jego ciocią, iż wolał złamać dane dziecku słowo?

– Wymyśliłabym coś. – Tak byłoby łatwiej. Ból coraz mocniej ścisnął jej serce. Jak ciężko było stać tuż przed Davisem i być od niego tak daleko. Wciąż czuć uścisk obejmujących ją ramion, delikatne muśnięcia jego oddechu. I wiedzieć, że nie zazna tego już nigdy więcej.

– Nie ma takiej potrzeby. – Davis przerwał te smutne rozmyślania. – Dzieci mają prawo oczekiwać, że dorośli będą dotrzymywać danego słowa.

Spostrzegła dziwny błysk w jego oczach. Odbicie wspomnień dawnych krzywd i cierpień. Zrozumiała, że on wcale nie miał na myśli Jeremy'ego. Zastanawiała się, co zdarzyło się w jego dzieciństwie. Kto i w jakich okolicznościach złamał dane mu obietnice.

– Jeremy jest tam – oznajmił nagle Davis, wskazując chłopca.

– Lepiej spróbujmy go schwytać.

– Ładnie tu. – Davis szedł tuż za nią.

– Tak – odparła, zadowolona, że nie musiała wracać do rozmowy o poprzedniej nocy. – Nigdy jeszcze tu nie byliśmy, choć Jeremy prosił o to wiele razy.

– Choinki ze sklepu – mruknął Davis. Marie zaśmiała się cichutko.

– Mały ci to powiedział?

– Oczywiście.

Marie gorączkowo szukała bezpiecznego tematu.

– Prawdę mówiąc, dla mnie to nie są prawdziwe choinki – odezwała się w końcu.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Skądże! Musi być jodła. Tylko takie drzewko się liczy. W naszym domu zawsze ustawiano jodłę.

Davis odruchowo pokiwał głową.

– A w twoim? – spytała, zdecydowana za wszelką cenę podtrzymać elegancką konwersację. – Jakie drzewko stawiano w twoim domu?

Davis wyciągnął rękę i musnął iglastą gałąź mijanej choinki.

– Plastikowe – odparł.

– Sztuczne drzewko? – Marie nie zdoła ukryć zmieszania. – Nie! To niemożliwe!

– Możliwe, możliwe. – Pokiwał głową i schował rękę do kieszeni. – Pamiętam, że w jednym z domów była różowa choinka z plastiku. Każdego wieczora zapalano na niej świecące koło. Coś obrzydliwego!

Co to znaczy: w jednym z domów? pomyślała.

– Innym razem w ogóle nie było choinki. Pamiętam tylko, że menora*

[*menora – siedmioramienny świecznik, symbol judaizmu] nawet mi się podobała.

Menora i różowe drzewko?

– Gdzie ty się wychowywałaś, Davisie?

– W St. Louis – odparł zimno. Powoli obrócił głowę i spojrzał Marie

prosto w oczy. – W domach dziecka.

Ogarnął ją smutek.

– Co się stało z twoimi rodzicami? – spytała.

Davis wzruszył ramionami, jakby usiłował zrzucić z nich dawny ciężar.

– Matka zmarła, kiedy byłem mniej więcej w wieku Jeremy’ego.

– Tak mi przykro. – Marie nie umiała wyobrazić sobie niczego gorszego niż dzieciństwo bez rodzicielskiej miłości.

– Było, minęło – rzucił głucho.

– A co z ojcem?

– Kilka miesięcy później oddał mnie do adopcji. Davis powiedział to tonem zimnym i beznamietnym, ale Marie tym bardziej poczuła się wstrząśnięta. Cóż za straszliwe dzieciństwo miał ten człowiek. Bez miejsca, które można by nazwać własnym domem. Bez rodziny, na której można polegać. W dodatku cały czas musiał żyć ze świadomością, że rodzony ojciec wyrzekł się go i zostawił na pastwę losu. Być może w tym kryła się tajemnica lęku Davisa przed miłością.

– Nie wiem, co powiedzieć – wykrztusiła.

– Nic nie mów – odparł. Co się ze mną dzieje? pomyślał. Dotąd nigdy, nikomu nie opowiadał o swoim dzieciństwie. Nigdy nie rozmawiał o przeszłości. Starał się w ogóle o niej nie myśleć.

– To musiało być dla ciebie straszne – zauważyła Marie. Wyczuł nutki współczucia w jej głosie i nastroszył się.

Nie chciał niczyjej litości.

– Nie martw się o mnie, Marie. Nie potrzebuję twojego współczucia.

– Doprawdy? – Jej zielone oczy zrobiły się podejrzanie wilgotne.

Davis wziął się w garść.

– To było bardzo dawno temu – przypomniał. – Nie jestem już tamtym samotnym chłopcem.

– Chyba się mylisz, Davisie – powiedziała Marie i położyła mu dłoń na przedramieniu. Nawet przez grubą sweter poczuł jej gorący dotyk.

Przez krótką jak mgnienie oka chwilę znów miał wrażenie, że żyje. Tak jak wtedy, gdy ich ciała złączyło miłosne uniesienie. W tym momencie Marie odezwała się i czar prysł.

– Uważam, że wciąż jest w tobie trochę tamtego małego chłopca. Chłopca, który wmówił sobie, że skoro nigdy nie miał rodziny, to wcale jej nie potrzebuje. Skoro nie był kochany, nie potrzebuje miłości.

Każde słowo Marie uderzało w twardy pancerz, w którym przed wielu laty zamknął swoje serce. I kruszyło go pomalutku. Każde jej spojrzenie, każdy dotyk rozgrzewał mu duszę.

Mimo to wciąż jeszcze się bronił.

Gdyby przyznał, nawet tylko przed samym sobą, jak dużo zaczęła znaczyć dla niego Marie i jej rodzina, musiałby przyznać także, że o takiej więzi marzył przez całe życie.

– Nie mogę zmienić przeszłości, nie mam wpływu na to, jak wyglądało twoje dzieciństwo – powiedziała. – I tylko ty sam możesz dzisiaj zmienić swoje życie.

Doprawdy? pomyślał. Czyżby nie było jeszcze za późno? Czy mógłby nauczyć się miłości i zaakceptować ją? Jakaś część jego duszy pragnęła tego aż do bólu.

– Hej, słuchajcie! – Jeremy pędem wpadł między nich i zatrzymał się gwałtownie, wzbijając tumany kurzu.

– Co się stało, mały? – Marie zmusiła się do uśmiechu.

– Znalazłem wspaniałą choinkę. – Chłopiec chwycił Marie za rękę i zaczął ją ciągnąć w stronę drzewka. – No, chodźcie, zanim ktoś ją zabierze!

Obróciła głowę i przez ramię spojrzała na Davisa. To, co ujrziała w jej oczach, niemal zważyło go z nóg. Kochała go. Marie Santini go kochała. Czy w związku z tym on zachowa się jak człowiek honoru?

Mrucząc pod nosem, Davis podążył za Jeremym i Marie. Był wdzięczny chłopcu, że znalazł drzewko, jakiego szukał. W tym momencie bowiem najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnął chwycić mocno w dłonie siekiere i rąbać tak, aż wióry będą leciały.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Mówię tylko, że mogłabyś przynajmniej trochę powalczyć o niego.

Marie w napięciu wpatrywała się w młodszą siostrę. Od trzech dni Gina powtarzała to samo i zaczynało to być nudne. Jakby Marie nie chciała walczyć o Davisa. Jakby nie pragnęła mieć go przy sobie. Ale przecież, do cholery, pozostały jej jeszcze resztki godności, prawda?

Wyznała Davisowi, że go kocha. Powiedziała, że tylko od niego zależy, jak zechce spędzić resztę życia. Razem z nią czy sam. Cóż więcej mogła zrobić?

Gina odpowiedziała za nią.

– Powinnaś pojechać do bazy, stanąć z Davisem twarzą w twarz i oświadczyć mu, że go kochasz.

Marie parsknęła śmiechem, w którym dźwięczały nutki bólu.

– Cóż za wspaniały pomysł! Szkoda, że nieskuteczny.

– Skąd wiesz, jeśli nawet nie spróbowałaś?

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie żartuj. – Gina siadła na krawędzi warsztatowego stołu. – Powiedziałaś mu, że go kochasz, a on poszedł sobie?

– Zdumiewające, co? – bąknęła Marie i pochyliła się nad silnikiem hondy Laury. Wstrętne bydlę znów wróciło do jej warsztatu, lecz Marie nie miała głowy do pracy. Myślami wciąż była przy Davisie. I tylko w dalekim zakamarku jej mózgu zrodziła się myśl, że powinna rozejrzeć się za jakimś niedrogim samochodem dla przyjaciółki. Honda mogła nie przetrzymać jeszcze jednego roku.

– Jezu! Kochanie! Tak mi przykro – zawołała Gina. Marie skrzywiła się. Zrozumiała, co Davis miał na myśli, mówiąc, że nie chce jej współczucia.

– Czemu nie kazałaś mi zamknąć buzi na kłódkę? Marie wyprostowała się i spojrzała siostrze prosto w oczy.

– Powtarzałam ci to już od trzech dni. Gina, dotknięta, wzruszyła ramionami.

– Nic nie słyszę, kiedy sama mówię.

– A to ci nowina!

– Hej, hej! Przecież jestem po twojej stronie, pamiętasz?

– Jak mogłabym zapomnieć. – Marie wróciła do pracy. – Ty, Angela i mama stale mi to powtarzacie, próbując organizować moje życie.

– No cóż, ktoś musi – westchnęła Gina.

– Twoje życie jest tak doskonałe? – Marie wysoko uniosła brwi.

Gina zeskoczyła ze stołu, podeszła do samochodu i oparła dłonie na masce.

– Posłuchaj... – zajrzała siostrze głęboko w oczy – jeżeli nie chcesz mojej pomocy, po prostu powiedz mi o tym. Nie musisz zaraz się obrażać.

– Zgoda – odparła Marie z powagą. – Nie chcę twojej pomocy.

– Ludzie! – prychnęła Gina. – Kto by przypuszczał, że przez faceta zrobisz się taka zręczliwa. Sądziłam, że seks raczej poprawia nastrój. – Gina ruszyła do wyjścia. Zatrzymała się jeszcze i dodała: – Skoro nie jestem potrzebna, pójdę do domu.

– Świetny pomysł. – Nareszcie spokój!

Nie minęła jednak minuta od wyjścia Giny, gdy panująca wokół cisza zaciążyła Marie. Poczowała wyrzuty sumienia. Nie powinna była tak rozmawiać z siostrą. To nie była jej wina, że Marie okazała się tak żalosną postacią.

Westchnęła ciężko. Wyprostowała się i z wściekłością kopnęła hondę w oponę. Musiała pogodzić się z faktem, że tego dnia nie da już rady pracować. W garażu zrobiło się nagle zbyt pusto. Sądziła wcześniej, że chce być sama. Kiedy jednak stało się tak, wcale nie było to takie wspaniałe. Rzuciła narzędzia na wózek i ruszyła do wyjścia. Szare niebo i zimny, ponury wiatr nie poprawiły jej humoru. Wcisnęła ręce do kieszeni kombinezonu. Starła się zapomnieć, kiedy miała go na sobie ostami raz. Usiłowała wyrzucić z pamięci chwilę, kiedy opadł z niej na podłogę w salonie. Nie chciała pamiętać chłodu drzwi za plecami, kiedy Davis wprowadził ją w świat, którego istnienia nawet nie przeczuwała.

Jednak mimo wysiłków wspomnienia jak oceaniczne fale nadpływały jedno po drugim. Jego oczy, ręce, usta, głos. Pamiętała każdy, najdrobniejszy szczegół. Zastanawiała się, jak długo potrafią żyć takie wspomnienia. Dwadzieścia, trzydzieści lat? Więcej?

– O Boże!

– Marie?

Drgnęła, przestraszona. Obróciła się i stanęła twarzą w twarz z mamą. Maryann Santini wpatrywała się w nią z troską.

– Mamo, co ty tu robisz? – Marie poczuła nagle, że jakaś twarda kula urosła jej w krtani.

Starsza pani potrzęsnęła siwą głową.

– Słucham? Czyżbym nie mogła już wpaść, żeby się z tobą zobaczyć?

– Oczywiście. Ja tylko... – Marie spostrzegła błysk zrozumienia w oczach mamy i cała jej niezłomność zaczęła pękać jak lodowa tafla. Łzy, które skrywała od trzech długich dni i jeszcze dłuższych nocy, napłynęły jej do oczu, zamazując cały świat. Przełknęła je z bólem i głosem nabrzmiałym cierpieniem spytała:

– Mamo... Dlaczego on mnie nie kocha?

Mama otwarła ramiona i Marie padła w nie, jak to nieraz czyniła w dzieciństwie. I tak jak wtedy wyraźnie poczuła otaczającą ją matczyną miłość.

– Co to znaczy, że nie skończyłeś jeszcze tych raportów?!

– wrzasnął Davis do telefonu. Kapral po drugiej stronie linii próbował się tłumaczyć, lecz Davis przerwał mu brutalnie:

– Skończ te historyjki i bierz się do roboty. Mają być gotowe na jutro rano. Zrozumiano?!

Cisnął słuchawkę na widełki i gapił się, wściekły, na czarny aparat, jakby

to on był źródłem wszystkich jego kłopotów. Psiakrew! zaklął pod nosem. Wiedział przecież, że odegrał się na niewinnym żołnierzu. Jeszcze miesiąc wcześniej nic by go nie obeszło takie spóźnienie.

Tymczasem teraz nawet najmniejsze drobiazgi wyprowadzały go z równowagi. Zauważył, że koledzy zaczęli omijać go szerokim łukiem, i nawet nie miał do nich o to żalu. Sam, gdyby wiedział, jak to zrobić, nie chciałby spędzić w swoim towarzystwie ani chwili dłużej.

Ostatnie trzy dni bez Marie były najdłuższymi dniami w jego życiu. Jego mieszkanie stało się jeszcze bardziej puste, świat wydał się samotną pustynią, a przyszłość zbyt przygnębiająca, by nawet myśleć o niej.

Marie! Myślami wciąż wracał do niej. Odszedł, zostawiając między nimi nie rozwiązane sprawy. Z jakiegoś idiotycznego powodu wmówił sobie, że mógł, tak po prostu, odejść, jak czynił to już wiele razy w przeszłości. Tym razem okazało się to niemożliwe. Nic nie pomagało, że nie widywał jej. Wspomnienia wciąż wyczarowywały jej twarz, ręce, głos i śmiech.

Obiecał Marie, że pozostanie w pobliżu do czasu, aż wyjaśni się, czy będą mieli dziecko, czy nie. I wciąż dręczyły go wątpliwości, jakiej wymówki będzie mógł użyć, by nadal być blisko niej, gdy wszystko się wyjaśni. Ale co się stanie, jeśli się okaże, że Marie jest w ciąży?

Na samą myśl o tym ogarnęło go jakieś nieokreślone uczucie. Czyżby to była nadzieja?

Zerwał się z krzesła i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Wojskowe buciska tłukły o pokrytą linoleum podłogę w rytmie bicia jego serca. Po kolejnym okrążeniu zatrzymał się przed małym okienkiem. Miał przed sobą tętniącą życiem bazę. Po polu startowym krzatali się zaaferowani żołnierze. Nawet z oddali słyszał głuchy pomruk silników helikopterów startujących do lotów treningowych. Między budynkami jeździły wyładowane ciężarówki. Wszystko wyglądało jak należy.

Od wielu lat bazy takie jak ta były całym jego światem. Armia ofiarowała mu to, co skradziono mu w dzieciństwie. Poczucie dumy i przydatności, honoru i obowiązku.

Odwrócił się pomału od okna. Na biurku pod ścianą leżał plik dokumentów, zaś na samym wierzchu formularz prośby o przedłużenie kontraktu. Gdyby nie podpisał go, po sześciu miesiącach zostałby zwolniony z wojska.

Gdyby? Zawsze podpisywał kolejne kontrakty. Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło rozważanie innego rozwiązania.

Aż do tej pory.

Niespodziewanie zobaczył przed oczami swoją przyszłość. Ujrzał siebie samego, jak przenosi się z jednej bazy do drugiej. Pakuje i rozpakowuje swoje rzeczy w obcych mieszkaniach. Zawsze jest sam. Wciąż zaczyna od nowa.

Tak będzie aż do przymusowej emerytury. I co wtedy? Co mu zostanie z całego życia? Plik listów pochwalnych? Jeszcze kilka baretek na mundurze,

którego nie będzie już mógł nosić?

Davis zacisnął dłoń na framudze. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że przyszłość rysuje się przed nim równie pusta, jak lata minione. W tym momencie oślepiła go myśl, że taka wizja ani trochę mu nie odpowiada. Zdążył już rozsmakować się w poczuciu bliskości z kimś innym. Poczuł, co znaczy być kochanym. Zrozumiał, że nie ma już dla niego odwrotu. Przyszłość bez Marie rysowała się ponuro.

Znów stanęła mu przed oczami jej twarz. Po raz kolejny, tak jak w ciągu trzech ostatnich dni, usłyszał każde słowo, które powiedziała na plantacji choinek. Nie mógł przestać o tym myśleć.

Przypomniawszy sobie chwile z dzieciństwa, gdy leżąc w ciemnościach, snuł marzenia o miejscu na ziemi, które mógłby nazwać domem. I oto los dał mu taką szansę. A on, jak ostatni idiota, uciekł przed nią. Wystraszył się, że zniszczy wszystko i znów zostanie z niczym.

– Ładna historia! – mruknął i walnął pięścią w ścianę. – Wystraszony komandos.

– Nocne koszmary? – usłyszał za plecami głos ogniomistrza, Nicka Perettiego.

– Nocne koszmary?

– Właśnie. – Nick wybuchnął śmiechem. – Komandos w panice.

Davis odpowiedział koledze wymuszonym rechotem, lecz Nick nie dał się zwieść.

– Chodzi o jakąś dziewczynę, co? – spytał ze współczuciem.

– Nie o jakąś – odparł Davis. – O moją. Gdybym nie zniszczył wszystkiego.

– Czy chciałbyś mi o czymś opowiedzieć?

Davis znów wybuchnął śmiechem. Podeszedł do Nicka i klepnął go w plecy, omal nie łamiąc mu żeber.

– Nie teraz. Dam ci znać – oznajmił i wyszedł.

– Powodzenia! – zawołał za nim Nick.

– Będzie mi potrzebne! – odrzyknął Davis. Miał nadzieję, że nie jest za późno.

– No, już dobrze. Wytrzymaj oczy – powiedziała Maryann surowo i podała córce chusteczkę.

Marie posłusznie wykonała polecenie.

– Nie wiem, co robić, mamo – powiedziała. – To znaczy, wiedziałam, że on i tak kiedyś odejdzie. Nie sądziłam tylko, że to aż tak mnie zboli. Mama ujęła ją pod brodę.

– Co to znaczy: wiedziałam, że on odejdzie?

– Wszyscy chłopcy, których kiedykolwiek polubiłam, odeszli.

– I uważasz, że wiesz, dlaczego?

– Oczywiście. Nie jestem tak ładna i pewna siebie jak Gina czy Angela.

Jestem w końcu mechanikiem samochodowym!

– A cóż w tym złego? – W głosie mamy zabrzmiały gniewne nutki.

– Nic – pośpiesznie odparła Marie. – Ja bardzo to lubię. Tylko że to zajęcie nie jest zbyt... dziewczęce.

– Jesteś więc przekonana, że Davis woli Ginę lub Angelę niż ciebie?

– Nie. – Cień uśmiechu przemknął po wargach Marie, gdy przypomniała sobie, z jaką udręką Davis czekał, by Gina umilkła choć na moment.

– To znaczy, że nie przeszkadza mu twój zawód?

– Nie – odparła z przekonaniem. – Ale nie w tym tkwi problem, mamo. On nigdy nie miał rodziny. Uważa, że nie potrafiłby znaleźć się wśród bliskich ludzi, że nie umiałby kochać.

– Bzdury!

– Słucham?

– Nigdy nie miał rodziny. I co z tego? Nigdy nie był komandosem, zanim zaciągnął się do wojska, prawda? – Mama poklepała córkę po policzku. – Człowiek wszystkiego może się nauczyć, kochanie. Gdy ktoś kocha wystarczająco mocno, dokona niemożliwego.

Tak, to był problem. Davis jej nie kochał. Albo nie kochał dość mocno.

– Tylko od ciebie zależy, co zechcesz zrobić. – Mama wstała i wygładziła fałdy na sukience. – Ale gdybym ja była na twoim miejscu, nie poddałabym się tak łatwo.

– Sama nie wiem. – Marie chciałaby wierzyć, że ma jeszcze szansę, lecz bała się kolejnego bolesnego rozczarowania.

– Przemyśl to starannie – poprosiła mama. – Kto wie, może jeżeli bardzo będziesz chciała, by Davis został, to zostanie. Teraz idę przygotować Jeremy'ego do jasełek. Przyjdiesz do domu, żeby się przebrać?

– Nie. Ubrania mam tutaj. Spotkamy się w szkole.

– Dobrze. Tylko się nie spóźnij. Dzieci są tak podekscytowane, że na pewno będzie to wspaniałe widowisko.

Pani Santini pomachała córce dłonią i ruszyła w stronę domu. Miała do przejścia niemały kawałek, ale bardzo lubiła takie spacerunki. Marie patrzyła za nią z głową pełną szalonych myśli, marzeń i pragnień.

Dwie godziny później Marie stała przed lustrem w łazience. Musnęła po raz ostatni grzebieniem fryzurę i przyjrzała się sobie z zadowoleniem. Wyglądała zupełnie dobrze, zważywszy, że ostatnie godziny płakała bez przerwy.

Teraz jednak śmiało patrzyła przed siebie. Widać było w jej oczach zdecydowanie i determinację. Przemyślała wszystko, co powiedziała mama, i podjęła decyzję. Postanowiła, że następnego ranka spotka się z Davisem. Stanie z nim twarzą w twarz i zażąda, by przyznał, że ją kocha. Tym razem nie zamierzała poddać się tak łatwo.

Jeśli sądzi, że komandoski to najwięksi twardziele, to nie widział jeszcze

Santinich w akcji.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Wcześniej już pozamykała warsztat, więc wyszła przez biuro. Starannie zamknęła drzwi i odwróciła się.

Wtedy go zobaczyła. Stał, oparty o mustanga. Po raz pierwszy zobaczyła go w mundurze. Musiała przyznać, że wyglądał bardzo korzystnie. Wysoki, muskularny i niezwykle przystojny, jak z plakatu zachęcającego do zaciągania się do wojska. Jego widok aż zapierał dech w piersiach.

Mała kropelka nadziei wsączyła się do jej serca.

Przeszła przez podjazd i stanęła tuż przed Davisem.

– Cześć – powiedziała. – Nie spodziewałam się zobaczyć cię tutaj.

– Wiem. – Odwrócił się i zajął do samochodu. – Mam coś dla ciebie.

Nieco zdezorientowana, Marie patrzyła na małą choineczkę w glinianej donicy, którą wydobył z auta. Na czubku miała zawiązaną wielką, czerwoną kokardę. Końce wstążki trzepotały na wietrze. Davis z wysiłkiem ustawił drzewko przed Marie. Spoglądała zdumiona to na choinkę, to na niego.

– Co to takiego? – Próbowała uspokoić oszalałe serce. Bez skutku. Wystarczyło, by ten mężczyzna znalazł się tak blisko.

Davis stanął na lekko rozstawionych nogach i skrzyżował ramiona na piersi.

– To jest sosenka – odparł po prostu.

– Widzę. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Dlaczego ją tu przywiozłeś?

Z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

– Bo nigdzie nie mogłem znaleźć jodły. Objechałem wszystkie sklepy w okolicy i zdobyłem tylko to – rzucił gniewnie.

Jeździł w poszukiwaniu jodły? Dlaczego?

– Przywiozłeś mi drzewko, ponieważ... – zaczęła. Davis nerwowo potarł policzek, jakby rozpaczliwie szukał potrzebnych słów.

– Ponieważ pomyślałem, że to cholera będzie najlepszą ilustracją...

– Czego? – Bardzo chciała, by powiedział to wreszcie.

– Że jestem już gotów zapuścić korzenie. Niezwykle emocje zagrały w jej duszy.

– Naprawdę jesteś gotów?

– Tak.

Spojrzała mu głęboko w oczy i wyczytała w nich tyle cudownych obietnic, że zachciało się jej krzyknąć. Mimo to słuchała cierpliwie.

– Chciałbym zasadzić to drzewko razem z tobą i ozdabiać je każdego roku.

– Każdego roku?

– Tak.

Lękała się uwierzyć w te słowa. Równie mocno bała się nie uwierzyć. Stała bez ruchu, czując, że oto wszystkie jej marzenia stają się coraz bardziej realne.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznała.

– Nie mów nic, Marie. – Nadzieja zaczęła rozgrzewać mu serce, gdy ujrzał na jej twarzy ten przecudny blask miłości, za którym tak bardzo tęsknił. – Tylko słuchaj. Przez ostatnie trzy dni byłem żalonym draniem. Wrzeszczałem na wszystkich i wszystkim obrzydzałem życie. Tylko dlatego, że jestem głupcem.

Nie zaprotestowała. Czy to dobrze, czy źle?

Nie czekał na wyjaśnienie tej kwestii. Mówił dalej, gnany potrzebą powiedzenia wszystkiego, co chciał i co musiał jej powiedzieć.

– Ty, prawdopodobnie, znacznie lepiej miałaś się beze mnie. Ale ja bez ciebie byłem tylko żalonym strzępkiem człowieka.

Uśmiechnęła się. To już na pewno był dobry znak.

– Te dni bez ciebie były straszne, ale pozwoliły mi coś zrozumieć. Coś, co wiedziałem już od dawna, ale do czego tak cholernie bałem się przyznać.

– Co to takiego, Davisie?

Położył dłonie na jej ramionach. Spojrzał w te niezwykle zielone oczy.

– Mam już dość samotności, Marie. Chcę należeć do kogoś. Pragnę mieć rodzinę. – Zamilkł, patrząc na nią z napięciem. – Pragnę ciebie.

Nie odezwała się. Zamrugowała tylko powiekami i z trudem przełknęła ślinę.

– Mój kontrakt kończy się już niedługo. – Mówił w gwałtownym pośpiechu, żeby jak najszybciej opowiedzieć jej o wszystkich swoich planach. – Nie chcę podpisywać następnego. Chcę wystąpić z wojska i zostać tutaj, w Bayside. Z tobą.

– Naprawdę? – Ze zdumienia aż otworzyła usta.

– Tak. – Uśmiechnął się. – Chciałbym, żebyśmy razem rozwinęli twój warsztat, zajęli się renowacją starych samochodów. Dokładnie tak, jak kiedyś o tym rozmawialiśmy. Pragnę, żebyśmy zostali partnerami. We wszystkim.

– Davisie...

– Wiem, że łączy nas krótka znajomość – przerwał jej – ale mam wrażenie, jakbym znał cię od zawsze.

Oparła mu dłoń na piersi. Jak błogosławieństwo spłynęło na niego ciepło miłości. I zrozumiał, że już nigdy nie zazna zimna.

– Ja też mam takie wrażenie – powiedziała cicho. Wielki ciężar spadł mu z serca. Zdażył! Jeszcze nie było za późno.

Zacisnął dłonie na jej ramionach. A potem gorączkowym ruchem sięgnął do kieszeni. Wydobył z niej małe granatowe pudełeczko. Otworzył je i położył na dłoni.

– Wyjdź za mnie, Marie – poprosił.

Wysadzany brylantami i szmaragdami pierścionek lśnił i migotał, przykuwał wzrok. Po chwili Marie spojrzała Davisowi prosto w oczy.

– Jeżeli oświadczasz mi się tylko z obawy, że będziemy mieli dziecko...

– Nie! – zawołał wielkim głosem. – To nie ma z tym nic wspólnego. Jeśli będzie dziecko – tym lepiej. Ale chcę... pragnę ciebie.

– Och! Davisie – szepnęła cichutko. – Tak bardzo chciałabym ci

uwierzyć.

– Kocham cię, Marie.

Zamrugła gwałtownie powiekami, kompletnie zaskoczona. Davis uśmiechnął się promiennie.

– Już nie boję się powiedzieć ci tego. Jedyne, co przeraża mnie naprawdę, to myśl, że byłbym skazany na życie bez ciebie.

Marie mocno ścisnęła jego dłoń.

– Nie musisz, Davisie. Ja też cię kocham. Odetchnął z ulgą.

– To znaczy, że wyjdiesz za mnie? – Wyjął pierścionek z pudełeczka i trzymał tuż przy jej palcu.

– Tak – odparła i wsunęła palec w złote kółko. Nigdy przedtem nie czuła tak olbrzymiej radości.

Davis natychmiast chwycił ją w ramiona. Pochylił głowę, by ją pocałować. W chwili gdy ich usta się zetknęły, zrozumiał, że znalazł wreszcie z dawna wymarzony dom.

EPILOG

Wigilia, po południu.

Davis siedział na podłodze w salonie Marie otoczony stertą plastikowych części. Musiał jakimś cudem w ciągu kilku najbliższych godzin złożyć z nich stację kosmiczną, którą następnego ranka Jeremy miał znaleźć pod choinką.

– Co jest, sierżancie? – Marie stanęła w drzwiach sypialni. – Już się poddajesz?

– Komandos nie poddaje się nigdy. – Z uśmiechem pokręcił głową.

– To prawda. – Pomału podeszła do niego. – Ale już niedługo przestaniesz być komandosem, czyż nie?

Gdy znalazła się blisko niego, przyciągnął ją do siebie, posadził sobie na kolanach i objął mocno.

– To prawda – powtórzył. Wcale nie poczuł smutku, kiedy wypowiedział te słowa.

Zamknął pewien fragment swojego życia. Nowy, chyba nawet jeszcze ciekawszy, miał przed sobą.

Marie położyła mu dłoń na policzku. Głaszcząc go delikatnie, rozmyślała o cudzie, jaki się zdarzył. Odnaleźli się przecież w tym wielkim świecie. Była szczęśliwa jak nigdy dotąd. Nadchodzący Nowy Rok przywita jako panna młoda. Dla swojego przyszłego męża miała zaś szczególny prezent gwiazdkowy.

– Wiesz, Davisie – zaczęła cicho – jest coś, o czym chciałabym ci powiedzieć.

Głośny odgłos szybkich kroków na schodach wiodących do jej mieszkania przerwał słowa Marie. Drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadła jak bomba Gina.

– Co ci się stało? – spytała Marie, wciąż pozostając w objęciach Davisa.

– Jestem taka wściekła, że mogłabym kasać! – zawołała Gina. Posłała przy tym Davisowi wyjątkowo nieprzyjemne spojrzenie. – Pamiętacie tego chłopaka, z którym chodzę na lekcje tańca? Dzisiaj praktycznie przewłókł mnie po podłodze przez całą salę. Powiedziałam mu wtedy, że wszystko robi źle. A on mi na to, żebyśmy się zamknęła i pozwoliła prowadzić mężczyźnie.

– No i co? – Marie nawet współczuła siostrze. Ale tego dnia miała pewne bardzo osobiste plany.

– Wygarnęłam mu wtedy, że skoro on nie ma najmniejszego pojęcia o prowadzeniu, to ja w ogóle wypisuję się z tej zabawy. A on na to, że tylko zabieram miejsce innym. – Gina zacisnęła pięści i tupnęła. – Uwierzycie? Przecież płacę za te lekcje. Nie powinien obrażać mnie w taki sposób.

Davis parsknął cichutko, ale Marie to usłyszała.

– A co my mielibyśmy zrobić w tej sprawie? – spytała siostrę.

– On jest komandosem. Jak on! – Gina wycelowała palec w narzeczonego siostry. – Pomyślałam więc, że Davis mógłby przemówić mu do rozumu.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparł z powagą. – Jak on się nazywa? Może go znam.

– Nick Peretti – fuknęła Gina. – Jest sierżantem czy kimś takim.

– Ogniomistrzem – skorygował Davis.

– Właśnie! A więc znasz go! – W oczach Giny zamigotały ognie zemsty.

– Wpadłem na niego raz czy dwa – bąknął Davis ostrożnie.

– Samochodem?

– Nie.

– Wielka szkoda. – Nagle, tak szybko jak przyszła, Gina ruszyła do wyjścia. – Kiedy spotkasz go następnym razem, powiedz mu, żeby zastanowił się, zanim znów spróbuje besztać kogoś z Santinich.

– Och! Ostrzegę go na pewno – zawołał Davis w stronę zatrzaśniętych drzwi.

Zrobiło się cicho. Marie potrząsnęła głową i popatrzyła na niego.

– Jesteś absolutnie pewien, że chcesz wejść do naszej rodzinki?

Davis wybuchnął śmiechem.

– Daję ci w ten sposób – powiedziała i uśmiechnęła się kącikiem warg – ostatnią szansę ucieczki.

– Komandos nigdy nie ucieka.

– To dobrze. – Przytuliła się do przyszęłego męża. Przyszła pora na prezent, który dla niego miała. – W tej sytuacji jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

– Tak? – mruknął. Wychylił się i za jej plecami sięgnął po jakąś część stacji kosmicznej.

– Za mniej więcej osiem miesięcy Gina powtórnie zostanie ciocią.

– To dobrze. – Zamilkł. Powoli obrócił głowę. Zobaczył szelmowski uśmiezek Marie. – Czy jesteś pewna? – wyjąkał.

– Żeby mieć pewność, będę musiała pójść do lekarza. Ale możesz mi zaufać. Jestem w ciąży. – Wyciągnęła rękę i łagodnie pogłaskała go po twarzy.

– To znaczy, że będziemy mieli...

– Dziecko.

– Dziecko – powtórzył, blednąc. Uniósł prawa rękę i ostrożnie, z szacunkiem, położył na brzuchu narzeczonej. Kiedy znów spojrzął jej w twarz, Marie dostrzegła łzy w jego oczach. Serce zabiło jej mocno w piersi.

– Kocham cię, Davisie – szepnęła.

– Ja też cię kocham, Marie.

Schylił głowę tak, że niemal zetknęli się czołami.

– Wesółych świąt – szepnął czule. Zanim ich usta się spotkały, dodał jeszcze:

– I szczęśliwego nowego życia.